

● Zajazd na „biały dom” w Lublinie ● Nędza literatów ● Henryk Czyż dla „Relacji”
● Bogactwo Podlasia ● Gorące Wilno ● Austriacka spółdzielczość ● Idee polskie: agraryzm ● Zwrot październikowy 1944 ● Armia Czerwona na Lubelszczyźnie

PL ISSN 0000-0000

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 02.II-08.II.1989 R.

NR 42

CENA 200 ZŁ



Vivito victuri... mors omnibus instat — Życie, którzy żyć chcą... śmierć czyha i tak na wszystkich.

Fot. Waldemar Stępień

Podobne zróżnicowanie dotyczyło grobowców. Bogaci wystawiali grób sobie i rodzinie na własnym kawałku gruntu oraz starali się o pomnik z napisem. Biedni mieli kolumbaria — budowle z nisząmi w ścianach, przeznaczonymi na urny. Pewne wyobrażenie, choć pewnie nieco przesadne, o indywidualnych grobowcach daje fragment „Uczty Trymalchiona”:

„Cóż tam, najdroższy przyjacielu, czy budujesz mój pomnik, jak ci to poleciłem? Bardzo cię proszę, byś u stóp mego posągu umieścił suczkę i wieńce, i łagiewki z maściami, i wszystkie walki gladiatora Petraitesa, bym dzięki tobie mógł żyć po śmierci; nadto niech ma długości sto stóp, a głębokości stóp dwieście, bo chcę mieć wkoło popiołów swych wszelkiego rodzaju owoce i obszerną winnicę, jest to bowiem opacznie, dbać o zdobność domu, póki się żyje, a nie dbać o ten dom, gdzie dłużej mieszkać się będzie. I przeto pragnę, by zaznaczono: »Pomnik ten nie przechodzi na spadkobiercę«. Zresztą nie omieszkałam zawarować sobie testamentu, by mnie po śmierci nie krzywdzono. Przeznaczę bowiem jednego ze swych wyzwolenców do strzeżenia mego grobu, by lud nie załatwiał potrzeby na moim pomniku. Proszę cię też, byś przedstawił na pomniku statki płynące żaglami, i mnie siedzącego na trybunie w białej todze z purpurowym brzegiem, z pięcioma złotymi pierścieniami, sypiącego pieniędzmi z woreczka; bo wiesz, że wydałem zabawę publiczną, dwa denary na głowę. Można też umieścić, jeśli uznasz, stoły z jadłem i cały lud — jak sobie dogad-

PRAWO, OBYCZAJE I... ŚMIERĆ

Marek Kuryłowicz

MYSL o nieuchronnym i jednakowym dla wszystkich końcu życia spotkać można w rzymskich tekstach bardzo często. Wypełnia ona także treść wielu inskrypcji (napisów) nagrobkowych, stanowiących nadzwyczaj ciekawą z obyczajowego, ale i prawnego punktu widzenia, lekturę. Również pisarze rzymscy poświęcają śmierci wiele miejsca. Szczególnie refleksyjny wydaje się Horacy, u którego wielokrotnie powraca myśl o jednakowym losie wszystkich ludzi. Dla przykładu tylko jeden z fragmentów jego poezji:

Każdego kres jednak, czy wcześniej, czy później los wyrzuci urna — i w kraj wiecznego wygnania popłyniesz z pluskiem czołna.

Również juryści żywo interesują się i zajmują kwestiami prawnymi związanymi ze śmiercią i składającymi się przede wszystkim na prawo spadkowe. Zagadnieniom testamentów i zapisów poświęcone były też liczne dzieła monograficzne rzymskich prawników. Można wręcz powiedzieć, że prawo spadkowe, obfitujące w liczne kazusy z praktyki dnia codziennego, było jednym z najbardziej „życiowych” dziedzin prawa starożytnego Rzymu.

Jednak los w postaci nieuchronnej śmierci nie oznaczał, by jednakowe były pogrzeby i groby. Zwykli ludzie mieli zwyczajne i proste pogrzeby, z zachowaniem jednakże należytych obyczajów. Umyte, namaszczone i ubrane w odpowiednią do stanu i godności togę, ciało zmarłego układane było na łożu żałobnym. Do ust zmarłego wkładano, greckim zwyczajem, monetę na opłatę dla Charona za przewiezienie przez Styks. Przy łożu, otoczonym oliwnymi lampkami lub pochodniami, gromadziła się rodzina oraz wyzwolenci i przyjaciele. Przed domem umieszczano gałązki cyprysu lub sosny dla oznaczenia domu żałoby. Po kilku dniach ciało przenoszone było na marach do grobowca lub na stos do spalenia. Orszakowi pogrzebowemu i ceremonii towarzyszyli muzykanci, płaczkę, niekiedy także ludzie w maskach wyobrażających przodków zmarłego. Pozostałe po spaleniu resztki kości i

popioły zbierano w chustę, by je wraz z wonnymi ziołami i miodem złożyć w urnie. Po pożegnaniu zmarłego zwyczajowymi słowami: „Sit tibi terra levis” (niech ci ziemia lekką będzie), albo: „Moliter ossa cubent” (niechaj kości leżą wygodnie), ceremonię kończyła stypa.

Wszystkie te elementy pogrzebu mogły być wzbogacone w zależności od zamożności zmarłego i jego rodziny oraz od zajmowanych przez niego za życia stanowisk i pełnionych godności. Ceremonie te organizowane były zwykle przez specjalnych przedsiębiorców pogrzebowych po przyjęciu zgłoszenia zgonu przez urzędnika zwanego libitinarius. Dostępne też były tylko dla tych, których było na nie stać. Ludzie ubodzy chowani byli bez ceremonii, tuż przed wschodem słońca, często we wspólnym grobie lub na jednym dla wszystkich stosie.

dzam. Po mojej prawicy ustaw posąg mej Furtunaty [żony] z gołębicą w ręce, i niech prowadzi suczkę uwiązaną do przepaski, i mego chłopczyka, i duże amfory zatkane gipsem, by wino nie wyciekło. I możesz wyrzeźbić jedną urnę rozbitą i płaczącego nad nią niewolnika. W środku — zegar słoneczny, by każdy, kto spojrzy na godzinę, musiał chcąc nie chcąc przeczytać tam moje imię. Co do napisu: to rozważ dokładnie, czy dostatecznym wyda ci się następujący: »Gaiusz Pompejusz Trymalchion Mecenatianus tu leży. Przyznano mu serwirat w jego nieobecności; mógł mieć dostęp do wszystkich dekuri rzymskich, ale nie chciał. Był oddany, dzielny i wierny. Wyrósł z małego. Zostawił trzydzieści milionów sesterców, nigdy nie słuchał filozofów. Bądź zdrow — I ty także«”.

Dokończenie na str. 7

relacje

ZE ŚWIATA

● Tygodnik „Ogoniok” opublikował dane o zadłużeniu zagranicznym Związku Radzieckiego. Sięga ono 43 mld rubli. Wielkość zadłużenia jest już dwa razy większa niż wynoszą wpływy z eksportu (16 mld rubli), licząc w twardej walucie.

● Od 1 stycznia przyszłego roku jedna piąta wypłat wynagrodzeń wypłacana będzie mieszkańcom Estonii w specjalnych kuponach, które, wedle założeń, mają się stać załącznikiem przyszłej, nowej waluty estońskiej, wymiennej na ruble.

● Wiedeński Instytut Międzynarodowych Porównań (WIIW) opublikował raport na temat stanu gospodarki Czechosłowacji. Wynika z niego, iż pomimo zwiększenia od 1986 roku stopnia zadłużenia w twardej walucie, rozwój gospodarczy kraju uległ zmniejszeniu. Zagraniczne długi CSRS wynosiły pod koniec ub. roku 5,6 mld dolarów i były, nie licząc Rumunii, najniższe wśród krajów RWPG. Ale przyrost dochodu narodowego w pierwszej połowie br. wyniósł zaledwie 2 proc. przy 2-, 3-procentowej stopie inflacyjnej.

● Ekspert jugosłowiański oceniają, że inflacja w tym kraju osiągnie w końcu grudnia 1500 procent.

● Średnia płaca w Jugosławii wynosi — w przeliczeniu — około 210

dolarów i jest o jedną trzecią niższa niż 10 lat temu. Jeżeli zaś części społeczeństwa żyje się lepiej — stwierdza ją ekonomiści — to należy to wytłumaczyć rosnącą rolą drugiego obiegu gospodarczego. Szacuje się, że tylko jedna trzecia wydatków ludności pochodzi z płac. Reszta — z dochodów uzyskanych z zajęć dodatkowych, „fuch” i spekulacji. Skąd my to znamy?

● Według sondaży, niezależne węgierskie Forum Demokratyczne może uzyskać w wyborach 30—40 proc. głosów, podczas gdy Węgierska Partia Socjalistyczna najwyżej 10—20 proc.

● „Węgry są naszym sąsiadem, a Czechosłowacja ze swej strony uczyni wszystko, by pozostały również naszym przyjacielem i sprzymierzeńcem” — stwierdza organ KPCZ „Rude Pravo”.

● „Tacy ludzie jak Vaclav Havel czy Jirzi Hajek to moim zdaniem absolutne zera” — powiedział premier Czechosłowacji Ladislav Adamec, w wywiadzie dla austriackiej gazety „Der Standard”.

● Ponad 100 dziennikarzy czechosłowackich, pracujących w oficjalnych mass mediach, skierowało list otwarty do premiera Czechosłowacji. Czytamy w nim m.in.: „Żądamy jak najszybszego zezwolenia na legalną publikację »Lidových Novin« i natychmiastowego zwolnienia aresztowanych redaktorów tego pisma, Jirziewy Rumla i Rudolfa Zemana”.

● Brytyjskie Ministerstwo Obrony opublikowało raport, stwierdzający, iż prezydent Austrii Kurt Waldheim (w czasie II wojny światowej porucznik Wehrmachtu) nie jest osobiście odpo-

wiedzialny za zbrodnie wojenne wobec 80 brytyjskich jeńców podczas II wojny światowej.

● Ministerstwo Spraw Zagranicznych ZSRR poinformowało, że szwedzki dyplomata Wallenberg zmarł w moskiewskim więzieniu na Łubiance w 1947 roku na skutek „tragicznej pomyłki”.

● „Jeśli Rada Najwyższa ZSRR kiedykolwiek w przyszłości ma podjąć niemoralne decyzje w polityce zagranicznej, rezerwuję sobie prawo do demisji” — powiedział minister spraw zagranicznych Eduard Szwardnadze podczas obrad radzieckiego parlamentu. Wypowiedź ta była komentarzem decyzji z 1979 roku o wkroczeniu wojsk ZSRR do Afganistanu i o budowie stacji radarowej w Krasnojarsku na Syberii.

● Premier KRLD, Jon Hiong Muk, w rozmowie z przedstawicielami chińskiego MSZ, oświadczył, że „niedawne zdławienie kontrewolucyjnej rebelii w Chinach zademonstrowało w pełni siłę i witalność Chińskiej Partii Komunistycznej”.

● „Europa Wschodnia stała się bagnem naszego kontynentu — piszą autorzy publikacji „Rheinischer Merkur”, zawartej w Zeszytach Dokumentacyjnym z serii „Ekologiczny Alert”. — Jej wielkie miasta duszą się od smogu, jej rzeki przenoszą fale nieczystości. Emisje zanieczyszczeń jej przestarzałego i mało wydajnego przemysłu sprowadzają śmierć na setki tysięcy hektarów lasów. Zanieczyszczone ścieki z północnych Czech, zachodniej Polski i wschodniej części NRD doprowadzają do skażeń nawet jeziora północnej Szwecji”.

relacje

Z KRAJU

● Z wstępnych obliczeń GUS wynika, że ceny detaliczne towarów i usług konsumpcyjnych były we wrześniu wyższe, w porównaniu z sierpniem — o 34,4 proc.; z grudniem ub.r. — o 231,6 proc.; z wrześniem ub. r. — o 269,2 proc. Analogiczne wskaźniki odnoszące się do żywności wyniosły: 44,5 proc.; 351,9 proc.; 403,5 proc.

● Jeżeli utrzyma się obecne tempo wzrostu cen, to inflacja przekroczy niedługo 5 tys. procent.

● W obiegu gotówkowym znajdują się pieniądze wartości ponad 7 bilionów złotych.

● Wyprodukowanie tony banknotów kosztuje mniej niż tony masła lub węgla.

● Kto skorzystał na urynkowaniu? Zaledwie 5,2 proc. ankietowanych przez CBOS uważa, że skorzystali wszyscy. Natomiast na pośredników (handlarzy) wskazuje 90,1 proc. respondentów, na przemysł przetwórczy — 57,6 proc., spółdzielczość — 55,5 proc., pracowników handlu — 48,9 proc., rząd — 40,7 proc., rolników — 37,2 proc.

● — [...] biedniejemy, a program gospodarczy zakłada, że proces ten jeszcze potrwa.

— Nie zgadzam się z tą teorią. W naszym kraju pieniądze leżą wszędzie. Za droga bułka? To przecież najlepszy klimat, żeby zostać piekarzem i zarobić. Nasz system odzwyczaił się od robienia interesów. Na Zachodzie, jeśli czegoś brakuje lub jest za drogie, to pojawia się firma, która na tym zarabia. Nie zgadzam się więc z narzekaniem na biedę, skoro jest tyle możliwości. Trzeba przekonać ludzi, żeby przestali biadolić, a zaczęli robić interesy. Nie rozumiem, co to znaczy — będzie gorzej” — fragment wywiadu z Lechem Wałęsą z „Rzeczpospolitej”.

● Pensja premiera wynosi 882 tys. zł. Ministrowie zarabiają od 702 do 720 tys. zł, wiceministrowie 612—630 tys. zł. Prezydent otrzymuje miesięcznie 1,2 mln zł.

● „Robiąc zakupy w kioskach »Ruch«, wspierasz PZPR” — głosi ulotka podpisana przez komitet strajkowy NSZZ „Solidarność” RSW w Suwałkach.

● „Musimy zaopiekować się PZPR, ona jest słaba a powinna znaleźć się w samorządzie” — stwierdził Jerzy Regulski, pełnomocnik rządu do spraw reformy samorządu terytorialnego podczas spotkania ekspertów w Sejmie.

● „Rząd najpewniej spłacać będzie gwarantowane przez poprzedniego ministra finansów kredyty na kampanię wyborczą dla »zorganizowanych sił politycznych« (PZPR, stronnictwa i OPZZ). Siły te nie kwapią się spłacać kredytów same, być może z wy-

jątkiem OPZZ” — oświadczył wiceminister finansów M. Dąbrowski w trakcie obrad senackiej Komisji Gospodarki Narodowej.

● Były prezes Komitetu do spraw Radia i Telewizji, Janusz Roszkowski, został mianowany przez prezydenta Jaruzelskiego ambasadorem Polski w Danii. Nie znana jest, jak dotychczas, dalsza kariera zawodowa Jerzego Urbana.

● „Ciągłe słyszę o indeksacji, demokracji itd., a nie mogę usłyszeć o potrzebie pracy. Pracy, która determinuje postawy i zachowania rolników, a dzięki której — nie bez udziału i inspiracji ZSL — wieś polska zmieniła się radykalnie w minionym 40-leciu. Tego stronnictwu nikt nie może odebrać” — Marek Błaszczak w dyskusji na X Plenum NK ZSL.

● Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” Cementowni Strzelce Opolskie wystąpiła z wnioskiem o uchylene decyzji rady pracowniczej z 1985 roku w sprawie przystąpienia całej załogi cementowni do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej jako członka zbiorowego. „Decyzję o przynależności naszych pracowników do TPPR należy pozostawić ich indywidualnym wyborom” — napisano w uzasadnieniu.

● 25 października Konfederacja Polski Niepodległej okupowała budynek KW PZPR w Lublinie. Członkowie KPN domagali się przydzielenia pomieszczeń dla swej partii oraz przekazania obiektów PZPR na cele społeczne (patrz reportaż na str. 3).

„RELACJE” W PRENUMERACIE - TANIEJ

Zainteresowanych możliwością zaprenumerowania naszego tygodnika informujemy, że prenumerata „Relacji” na pierwszy kwartał 1990 roku przyjmowana jest do 20 listopada br.

1) Z możliwości zaprenumerowania tygodnika z dostawą do domów będą mogli skorzystać (tak wynika z uzgodnień PP „Polska Poczta, Telegraf i Telefon”) tylko mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek, w których nie ma Oddziałów RSW, osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. Usługa ta łączy się z poniesieniem dodatkowych opłat, a informacje w tej sprawie udzielają placówki przyjmujące prenumeratę oraz doręczyciele.

2) Zamówienia na prenumeratę w roku 1990 przyjmowane będą tylko na kwartał. Stosowne komunikaty będziemy publikować w odpowiednim czasie.

3) Utrzymana będzie bardzo korzystna prenumerata instytucjonalna, czyli zamawiana i dostarczana do zakładów pracy, z której mogą korzystać

również prenumeratorzy indywidualni zatrudnieni w tych zakładach. Za tę usługę nie będą pobierane dodatkowe opłaty.

4) W miastach, w których istnieją Oddziały RSW istnieje możliwość zamówienia prenumeraty w tych oddziałach, w klubach MPiK oraz w wytypowanych kioskach. Ta forma prenumeraty nie łączy się z żadnymi dodatkowymi opłatami.

5) O szczegółach dotyczących prenumeraty na zagranicę informujemy Czytelników w przyszłym tygodniu.

6) Cena prenumeraty kwartalnej tygodnika „Relacje” jest podana w „Informatorze o cenach prasy polskiej w prenumeracie”, który jest do wglądu dla Czytelników w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

7) Koszt prenumeraty na pierwszy kwartał 1990 roku ustalony został dla Tygodnika Wschodniego „Relacje” w

wysokości 2210 złotych, a więc za jeden numer prenumerujący płaci 170 złotych, czyli mniej niż w sprzedaży kioskowej.

8) Ze swej strony proponujemy zainteresowanym Czytelnikom rozważnie możliwości wskazanych w punktach 3 i 7 oraz obiecujemy że w 1990 roku też będzie u nas co poczytać!

Redakcja

UWAGA CZYTELNICY!

Uprzejmie informujemy, że z dniem 30 października Biuro Ogłoszeń z ul. Rybnej 13 przeniesione zostało na Al. Racławickie 1 (parter). Godziny przyjęć interesantów 9—15.45, telefon bez zmian nr 214-23.

Serdecznie zaprasza klientów Lubelskie Wydawnictwo Prasowe.

PKO NASZĄ KASĄ

Michał Zieliński

NARZEKAŁEM ostatnio („Relacje” z 26.10) na jakość usług PKO, które przetrzymuje pieniądze wpływające na konta, to zaś przy obecnej hiperinflacji jest niemałą stratą dla posiadaczy rachunków.

Niestety, nie wiedziałem najgorszego. Otóż nasz kochany bankowy monopolista doszedł do wniosku, iż nie opłaca mu się świadczyć usług nieodpłatnie (tak jakby darmowy kredyt, jakiego de facto udzielają mu posiadacze rachunków, nie był znakomitym interesem) i postanowił pobierać opłaty: 50 złotych za wykonanie każdego zlecenia stałego i 150 złotych za przysyłanie wyciągu o stanie konta. O tej radosnej innowacji PKO powiadomiło klientów, zgodnie z uchwalonym — jednogłośnie — przez siebie regulaminem, poprzez wywieśnienie stosownego anonsu na tablicy ogłoszeń. Ten niezwykle sprawny środek komunikowania społecznego spowoduje, iż większość posiadaczy rachunków dowie się o tej zmianie dopiero wtedy, gdy przyjdzie im zapłacić za przysyłane wyciągi.

Jak wyliczył Maciej Smogorzewski w „Gazecie Wyborczej” nr 122, ten jakże prosty pomysł przyniesie bankowi miesięcznie grubo ponad 600 milionów złotych. Skłoniło to Smogorzewskiego do następującego komentarza: „W niedawnej audycji telewizyjnej prywatni polscy finansyści twierdzili, że prezes PKO Marian Krzak nie ma głowy do interesu. Teraz nie jest to oczywiste”.

Święta racja. Pan Krzak, który, jak bardzo dobrze pamiętamy, strasznie chciał płacić i pluć krwią (naszą), ma do interesu głowę. A może nawet więcej — cały łeb.

JANUSZ WRONA W „DIALOGACH HISTORYCZNYCH”

29 października w I programie Polskiego Radia w audycji „Dialogi historyczne”, programie znanym i cenionym, wystąpił nasz stały współpracownik dr Janusz Wrona. Tematem rozmowy, prowadzonej przez red. Jerzego Grumę, był „Zwrot październikowy”, który obecnie jest przedmiotem cyklu publikacji w „Relacjach”. Ustala on w nowy sposób moment zwrotny wobec podstawowych sił politycznych na październik 1944 roku, odwracając tradycyjny sposób myślenia o początkach totalitaryzmu nad Wisłą. Zazwyczaj wiązano to z usunięciem z życia politycznego Władysława Gomułki. Janusz Wrona sprzecywał tymczasem, obszernie cytując źródła, „ukaszanie stalinowskie” na październik 1944 roku, a więc okres, gdy ten polityk, uznawany za reformatora, miał istotny wpływ na politykę komunistów.

POMÓŻ CHORYM NA PADACZKĘ!

Z niektórymi chorobami żyć jest szczególnie trudno. Do nich należy padaczka. Cierpiący na tę chorobę mają nie tylko kłopoty zdrowotne, ale również natury zawodowej i psychicznej. Często czują się osamotnieni, rozdrażnieni, pozostawieni sami sobie ze swoimi problemami. Chorych na padaczkę jest w Polsce ponad 300 000, a więc jest to już problem społeczny.

Zarząd Główny Stowarzyszenia Ludzi Cierpiących na Padaczkę w Białymstoku zwraca się z apelem do wszystkich ludzi dobrej woli o przyjęcie z pomocą temu środowisku. Ewentualną pomoc materialną należy kierować na konto: złotówkowe (PKO 1/0 Białystok 5513-61043-132), dewizowe (Bank Handlowy S.A. Warszawa 5030-15107-787). Stowarzyszenie posiada także oddziały terenowe w Łodzi, Wałbrzychu, Katowicach i Lublinie (ul. Warskiego 10/1, Prezes Oddziału — Dariusz Stasiak).

Wszystkich zainteresowanych tym problemem Zarząd Główny prosi o kontakt. Korespondencje należy kierować na adres: 15-482 Białystok, ul. Fabryczna 57, Zarząd Główny Polskiego Stowarzyszenia Ludzi Cierpiących na Padaczkę, tel. 75-44-20.



Fot. Maciej Szymczak

OKUPACJA nadeszła Alejami Racławickimi. 25 października, około trzynastej, konfederaci w szyku zwartym, z rozwiniętymi transparentami i zawołaniem: „KPN! KPN!” i „Zajmujemy budynek!” wkroczyli do siedziby Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie i — ku osłupieniu aktywu terenowego zażywającego akurat przerwę w obradach — opanowali I piętro z gabinetem szefa.

Pierwsi otrząsnęli się z zaskoczenia pracownicy instancji wojewódzkiej, zdecydowani bronić swej chudoby przed młodzieńcami z białoczerwonymi opaskami i emblematami Konfederacji Polski Niepodległej. Doszło do szarpaniny, do rękoczynów — nie, gdyż energiczna interwencja I sekretarza KW — Andrzeja Szpringera, i członka Rady Politycznej KPN — Dariusza Wójcika, zapobiegła w porę skandalicznej awanturze. Konfederaci zwrócili Pierwszemu gabinet, rozlokowali się w sali konferencyjnej od frontu, wystawili pikiety przed budynkiem, wywiesili transparenty, uruchomili megafony. O godzinie 14. zapanował pozorny spokój...

Tego popołudnia fronton Komitetu Wojewódzkiego przedstawiał niecodzienny widok. W oknach balkonów pierwszego piętra młodzi ludzie z megafonem, nogi spuszczone przez balustradę, transparenty: „Domagamy się przekazania lokali dla partii politycznych”, „Domagamy się przekazania budynku Komitetu Miejskiego dla służby zdrowia” oraz „Polacy obudzcie się, chcecie tylko zwyciężyć!”. W drzwiach pikiet, przed gmachem nieliczne grupki gapiów. Tłumów nie będzie do wieczora.

Wchodzę bez problemu, nikt nie legitymuje. Zresztą każdy może wejść i wyjść. Wychodzących, póki co, znacznie więcej. Zbliża się piętnasta.

W sali na piętrze około trzydziestu konfederatów, sama młodzież. Pałą, czytają, rozmawiają, co kilka minut jeden z nich nadaje komunikat przez megafon: „Trwa akcja protestacyjna KPN, która jest fragmentem dzisiejszych działań ogólnopolskich. [...] Nie walczymy z rządem Tadeusza Mazowieckiego, nie walczymy z Solidarnością. [...] Walczymy z ostatnim bastionem komunizmu w Polsce, jakim jest PZPR, która utrzymuje monopol majątku narodowego w swoich rękach. Stąd nasza tutaj obecność. Chcemy, żeby wszystkie partie polityczne miały te same prawa. Nie może być tak, aby miały je tylko PZPR, ZSL i SD. [...] Jesteśmy jedyną naprawdę niezależną partią polityczną między Łabą a Władystowem”.

Są kłopoty z papierosami. — W kiosku nie ma, nawet pod ladą patrzyliśmy — stwierdza długowłosa okupant.

— W stółce też marnie — konstatują inni. — Bigos za dwójkę, ale zjedliśmy, bo reszta też drożyna. Fajek nie ma, w ogóle cudów to oni tu na dole nie mają.

Ktoś majstruje przy małym odborniku UKF. — To milicja? — pyta, nasłuchując trzasków.

— Zostaw — gasi go kolega. — Akurat ci zakomunikują: panowie, jedziemy po was, czekajcie na nas!

— Boicie się? — pytam. — Czego? — patrzą na mnie, jakbym się urwał z choinki, zerkając przy tym podejrzliwie na moją teczkę.

— Nie, nie — orientuje się w porę — jestem dziennikarzem! Uważacie, że uda wam się coś dzisiaj załatwić?

— Dziś jak dziś, ale kiedyś na pewno tak. Jesteśmy zdecydowani siedzieć

ZAJAZD NA „BIAŁY DOM”

Leszek Wiśniewski

do oporu, inaczej nie byłoby sensu tu przychodzić.

GODZINA 16. I sekretarz KW PZPR Andrzej Szpringer ma zebranie z pracownikami. Odnajduję tymczasem Dariusza Wójcika:

— Od dłuższego czasu domagamy się stworzenia KPN-owi możliwości normalnego funkcjonowania jako partii politycznej. Staraliśmy się o lokal w trakcie kampanii wyborczej. Złożyliśmy wtedy pismo do pana prezydenta Leńczuka. Zamiat odpowiedzi, podjęto decyzję o rozbiuraniu naszych wieców przedwyborczych. We wrześniu skierowaliśmy do pana prezydenta kolejne pismo z prośbą o przydzielenie jakiegokolwiek lokalu (sugerowaliśmy pomieszczenia po ORMO przy Lipowej). Pan prezydent stwierdził, że sytuacja lokalowa jest bardzo trudna, ponadto nie został jeszcze prawnie uregulowany status partii politycznych. „Czy KPN jest partią polityczną?” — zapytano nas. Odwiedziliśmy pana prezydenta, ale nie mogliśmy go zastać. Dyrektor Włoch z „lokalówki” obiecał, że podejmie starania, lecz to nie leży w jego gestii. Potem nie było już żadnych reakcji, poza aroganckimi. W całym kraju, i w Lublinie wyczerpaliśmy wszystkie legalne możliwości załatwienia lokali dla Konfederacji.

— Dzisiejsza akcja ma charakter protestacyjny. Nam nie chodzi jedynie o przydzielenie lokalu. Chodzi o wprowadzenie autentycznego pluralizmu politycznego. Przecież pluralizm nie polega wyłącznie na tym, że ludzi z KPN nie zamyka się do więzień, ale także i przede wszystkim na tym, by stworzyć realne warunki do działania politycznego. Przez 10 lat byliśmy organizacją szczególnie represjonowaną, podczas gdy PZPR w warunkach niedemokratycznych objęła w posiadanie i wykorzystywała znaczną część majątku narodowego. Wprowadzenie pluralizmu politycznego wymaga stworzenia równych szans dla wszystkich partii politycznych. Tak więc ograniczenie stanu posiadania PZPR jest warunkiem dopuszczenia do rozwoju bazy programowej i politycznej dla innych partii. Nie chodzi wyłącznie o działalność polityczną. Część majątku, która bezprawnie znalazła się w rękach PZPR, powinna wrócić do społeczeństwa. Postulujemy przekazanie jednego z budynków PZPR na potrzeby służby zdrowia.

GODZINA 16.30. Część konfederatów opuszcza budynek, udając się na wiec pod pomnikiem Skłodowskiej. Na sali pojawia się herbata, trochę lichej wyżywki. Ktoś przynosi telewizorek. Na korytarzach towarzysze mieszanymi z okupantami. Nerwowie, przygnębieni. Samotni w wielkim gmachu. No, może nie dosłownie...

W oswobodzonym gabinecie rozmawiam z Andrzejem Szpringerem. Przeprasza, że w trakcie będzie przegryzał „obiadokolacyjne” kanapki.

— Niezależnie od artykułowania postulatów KPN, fakt najścia i wtargnięcia do budynku jest moralnie naganny i ma określoną kwalifikację prawną. Ja jestem w stanie zrozumieć zdeterminowanie tych młodych ludzi przeszłością, sytuacją, losami osobistymi. Nie mogę się jednak zgodzić, że mówiąc o demokracji, mamy do czynienia z metodami zgola niedemokratycznymi. Pan Wójcik mówi o pluralizmie — ja też. Pan Wójcik powiada, że partia weszła bezprawnie w posiadanie majątku narodowego i winna zwrócić go społeczeństwu, że nie walczy tylko o sprawy KPN-u. Ja mu wyrażam swoje uznanie, ale metod postępowania nie podzielim. Nie jestem przeciwko rozmowom o innym, niż dotąd, wykorzystaniu naszych budynków. Domagam się tylko, by było to w zgodzie ze sposobem, w jaki artykułował to z trybuny sejmowej premier Mazowiecki.

— Mamy oferty od organizacji, przedsiębiorstw i instytucji, które chciałyby wykorzystać budynki PZPR na swoją działalność. Złożyły je m.in. SD PRL, Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, UMCS. Propozycje te były, o ironio!, dyskutowane akurat dzisiaj rano.

— Nas nie cechuje niechęć do posunięcia się na tym stołku. Jestem realistą i wiem, że stany zastane do niczego na przyszłość nie zobowiązują. Tym bardziej, że deklarowaliśmy chęć zmiany stanu rzeczy, lecz niech się to dzieje w sposób godny. Uważam, że rozmowy na ten temat powinny się toczyć między zainteresowanymi stronami, np. między służbą zdrowia a dotychczasowym użytkownikiem. Nie ma rzeczy niemożliwych. Natomiast w takiej scenarii, nawet dla najbardziej złośliwego celu, najście budynku przez KPN stawia ten ruch w roli agresywnego adwokata i nie nobilituje tego zachowania. Powiadomiłem o zajściu prokuraturę wojewódzką, prezydenta miasta i wojewodę, premiera i prezydenta PRL. I, oczywiście, swoją centralę.

Prokurator Andrzej Kopieniak pojechał się i wyszedł. Oświadczenia dla prasy nie było. A. Szpringer imponował spokojem. „Pogratulowałem panu Wójcikowi sprawności przeprowadzenia akcji” — powiedział mi na odchodne.

GODZINA 17. Mecz piłkarski Polska — Szwecja. Oczywiście lanie. Uwagę skupia Panorama Lubelska w „dwójce”. Mówią Szpringer i Wójcik. Komentarze na sali przychylnie. Nieco odprężenia. Pierwsze kulturalne rozmowy antagonistów. Tak, z bliska młodzi konfederaci nie przywołują falangi-stowskich skojarzeń. Rozmawiają chętnie; grzeczni, spokojni.

Zbigniew Sznajder z Partii Republikańskiej przybył w charakterze sojuszniczego obserwatora: „Sami staniemy wkrótce przed tym problemem, 9 listopada ogłaszamy w Katowicach akt proklamacji. Z tego, co tutaj obserwuję, uczestnicząc w rozmowach z sekretarzem Szpringerem, następuje wyraźne odciepienie się, jeśli nie lubelskiej partii, to czołowych postaci, od oficjalnej, dotychczasowej linii PZPR i niewyzywanie sił porządkowych. Ale niepokojące jest powierzenie sprawy prokuratorowi, od którego zależeć będzie podjęcie akcji interwencyjnej”.

GODZINA 19. Zebranie KPN. Przewodzi Dariusz Wójcik. Takich słów teściany jeszcze chyba nie słyszały. Dominują: ONI i MUSIMY. Sala pełna. W drzwiach kilku przysłuchujących się pracowników KW.

— Chcę posłuchać, jakie macie poglądy — powiada jeden z nich. — Wy przecież nasze znacie.

— Proszę bardzo — robi miejsce konfederat. — Każdy może posłuchać. Pojawiają się pierwsi „spiworowcy”.

— Zostajecie na noc? — przytrzymuję za łokieć jednego z nich.

— No, nie wszyscy. Mamy zajęcia jutro. Darek zdecyduje.

GODZINA 20. Jest prezydent Leńczuk. Negocjacje z udziałem sekretarza Szpringera i konfederatów. Porozumienie. Dokumenty:

„Kierownictwo Akcji Bieżącej Konfederacji Polski Niepodległej. Obszar IV Lublin.

W związku z przedłożonym wnioskiem przez KAB KPN Obszar IV Lublin w sprawie przydziału lokalu na cele organizacyjne informuję, że:

— w/w lokal w uzgodnieniu z wnioskodawcą wskażę do zasiedlenia w terminie do dnia 1989.11.09 w obrębie terytorialnym tradycyjnie rozumianego śródmieścia Lublina o powierzchni 60 do 70 m²,

— wychodząc naprzeciw w/w wnioskowi, podejmę starania, aby lokal

wyposażony był w podstawowe urządzenia techniczne, zabezpieczające funkcjonowanie organizacji.

Jednocześnie w związku z otrzymanym przez administrację poleceniem (co zostało opublikowane w Oświadczeniu Biura Prasowego Rządu) stworzenia możliwości wynajęcia przez pozaparlamentarne siły polityczne lokali na takich samych zasadach, jakie obowiązują stowarzyszenia i organizacje społeczne, stwierdzam, iż w przypadku pojawienia się takich wniosków będą one załatwiane zgodnie z prawem.

Prezydent Miasta Lublina,
Edward Leńczuk”.

„Oświadczenie. W związku z postulatem przedłożonym w dniu 1989.10.25 przez Kierownictwo Akcji Bieżącej Konfederacji Polski Niepodległej, Obszar IV Lublin, podczas okupacji budynku KW PZPR w Lublinie w sprawie rozważenia możliwości przeznaczenia budynku KW PZPR na cele społeczne, informuję, iż możliwość podjęcia takich rozmów istnieje, biorąc pod uwagę wnioski przedłożone dotychczas w tej sprawie (w tym wnioski przedłożone Wojewodzie Lubelskiemu) oraz skierowane bezpośrednio do KW PZPR przez oferentów.

Sprawa ta powinna być przedmiotem rozważań wyłonionej przez zainteresowane strony komisji.

I sekretarz KW PZPR,
Andrzej Szpringer”.

GODZINA 23. Nie będzie nocy w sali konferencyjnej. Transparenty zwinięte. Koniec okupacji. Drzwi zamknie portier...

Postscriptum I: Pamiętam Wojewódzką Konferencję PZPR z 1981 roku, którą relacjonowałem jako jeszcze dziennikarz „Sztandaru Ludu”. Jak żywo stanęła mi przed oczyma w okupacyjną środę ówczesna sekretarz Komitetu Miejskiego, Elżbieta Woytowicz która stwierdziła, iż marzy jej się taka sytuacja, gdy do tego budynku będą mogli przyjść działacze KPN z Moczulskim, że „będziemy mogli z nimi dyskutować”. Rozpętała się hysteryczna awantura, a biedną panią sekretarz ekskomunikowano, razem z działaczami tzw. struktur poziomych. No, cóż, po ośmiu latach góra wtargnęła do Mahometa.

Kiedy niemożliwe staje się możliwe, niektórym wydaje się, że nastąpił koniec świata. A przecież nazajutrz wygłąda on zupełnie tak samo...

Postscriptum II: 26 października premier Tadeusz Mazowiecki polecił wojewodom zdecydowanie usuwać okupujących budynki użyteczności publicznej. 27 października minister — szef Urzędu Rady Ministrów Jacek Ambroziak ostrzegł w telewizji działaczy KPN przed groźbami im karami sądowymi za okupację i zobowiązał władze terenowe do pociągnięcia do odpowiedzialności cywilnej winnych strat spowodowanych okupowaniem obiektów.

Kiedy dostatek żywności?

Andrzej W. Pawluczak



Fot. Waldemar Stępień

PODCZAS swoich peregrynacji po Lubelszczyźnie i Podlasiu od wszystkich rolników słyszałem to samo: traktory, maszyny, środki produkcji i kredyty. Wszystkim było tego za mało, niezależnie od wielkości gospodarstwa, specjalizacji, jakości ziemi. Zrozumiałe, że brakuje, skoro np. od roku 1980 produkcja ciągników utrzymuje się na tym samym poziomie, zbliżając się z trudem do liczby sześćdziesięciu tysięcy rocznie. I to mimo miliardów utopnionych w licencyjnym Fergusonie, znacznie gorszym, zdaniem chłopów, niż rodzimy Ursus. Mówi się na wsi, że ktoś nielicho nabił kabzę, kupując tę licencję wbrew opiniom inżynierów i fachowców od uprawy ziemi. Ale dajmy temu pokój: ja sam napisałem już niemało o bezrozumnej polityce państwowej, zarzynającej prywatne rolnictwo.

Pora teraz na spojrzenie w przyszłość, bo od tego, czy tę przyszłość potrafią sensownie zagospodarować, zależy nasze przetrwanie. Przetrwanie? Właśnie w tej kategorii widzi problem najbliższych paru lat najwybitniejszy znawca krajowego rolnictwa — Józef

Kuśmirek. Wierzę mu, ponieważ sprawdziło się wiele jego przepowiedni.

Ileż to jest na Podlasiu (lubelskim czy białostockim) — zawsze podziwiam swoistą czystość tutejszego krajobrazu oraz bardziej widoczny niż gdzie indziej związek wiejskiej architektury z naturalnym otoczeniem. Jest to dla mnie oznaką, że przetrwał tutaj tradycyjny kontakt człowieka z ziemią i przyrodą. Zapewne wynikało to z rozdrobnienia tutejszego rolnictwa: kiedy hoduje się trzy świnki i dwie krowy, to każda ma swoje imię. Kiedy w oborze jest tych świń pięćdziesiąt, to każda jest taka sama. Być może. Ale właśnie w tej archaicznej wiejskości widzę dzisiaj największe bogactwo Podlasia.

Archaiczna — to może złe w tym wypadku słowo. Chodzi mi bowiem o wieś nie wykoślawioną przez złe pojmowaną urbanizację, o ten nonsens, który mógł wylegnąć się tylko w głowie kogoś, kto ma kompleksy i wyduł sobie, że należy „przybliżyć wieś do miasta”. Toteż miastowych bloków (jak w Niemczech pod Lublinem) nie widziałem tu nigdzie, poza PGR w o-

kolicach Janowa. Mało tu także dróg bitych, dymiących kominów, linii kolejowych i smrodliwych wyziewów. Najnowszy rocznik statystyczny przynosi w tej materii liczby, które naprawdę cieszą.

Oto w tabeli „Emisja zanieczyszczeń powietrza atmosferycznego” województwo białostockie zdecydowanie w Polsce przoduje, wyprzedzając legendarnie czystą Suwalszczyznę (nie mówiąc już o Bieszczadach, które są tu te tak samo, jak województwo toruńskie). W tabeli „Odpady przemysłowe uciążliwe dla środowiska nagromadzone na terenach zakładów”, Podlasie lubelskie z liczbą zero ton także jest w kraju unikatem. Czy potwierdza to potoczne doświadczenie? Oczywiście! Jadąc w upalny dzień szosą przecinającą las, czuje się nie zaduch rozgrzanego asfaltu, ale zapach lasu. To niesamowite i nie spotkane przeze mnie nigdzie indziej wrażenie można sprawdzić zwiastując na północ od Białej Podlaskiej.

Dlatego owa „czystość” Podlasia ma w sobie coś nostalgicznego. Duże przestrzenie zielonych, płaskich łąk, podmokłe rzeczki, bagienka i uroczyska przywołują krajobraz Ukrainy i zarazem Polesia. Ziemię tu, jak wspominałem, marne i bardzo marne, ale teren do hodowli bydła wprost wymarzony. Łąk tu tak wiele, że nikt nie wypasa krów w przydrożnych rowach. To także dowód podlaskiego bogactwa. To wielki atut tutejszego rolnictwa, gdyby poprowadzić je naprawdę mądrze i z myślą o wielkich pieniądzech.

PODLASIE, pozbawione zanieczyszczeń chemicznych i ołowiu, mogłoby stać się najpoważniejszym dostawcą niemal sterylnej czystego nabiału: mleka (niemowlęta, dzieci!), masła beżolowowego i beżolowowych serów. Albowiem nabiał wyrabiany przez mleczarnie śląskie, pomorskie i mazowieckie to istne kopalnie metali ciężkich, a więc trucizn, działających najbardziej zdradliwie i toksycznie.

Z racji najczystsze w kraju powietrze i lasów szpilkowych Podlasie to także idealny teren do wypoczynku i leczenia sanatoryjnego. Trzeba bowiem powiedzieć, że prawie wszystkie uzdrowiska położone na Śląsku i Podkarpaciu utraciły swoje walory. A nawet lepiej tam nie jeździć. Dotyczy to także lubelskiego Nałęczowa, którego powietrze, z racji pobliskich Puław, przedstawia wiele do życzenia.

raria za swoje książki, wynoszące około pięciu procent wartości dzieła. Na całym świecie jest inaczej, a przede wszystkim sprawiedliwiej — literaci otrzymują procent od wartości sprzedanych, a nie wydrukowanych i potem idących na przemiał książek. Procent ten jest znaczny, godziwy i wynosi tam około 15. Tak jeszcze było i w Polsce niedługo po wojnie, dopóki miażdżąca urawniłowka nie zdusiła wszystkiego. Potem nastąpiła tak zwana stawka autorska za arkusz wydawniczy, czyli za znormalizowane 22 stronice maszynopisu. Po to, aby pisarz socjalistyczny nie stał się bogaczem, zastosowano wobec niego osobiwą karę za poczytność. Za wydrukowanie drugiego nakładu podstawowego (podstawowy — 10 tys. egz.) otrzymywał już tylko 80 proc. stawki podstawowej, za trzeci i dalsze — odpowiednio — 60 i 50 proc. stawki.

Stawka podstawowa była ustalana arbitralnie przez spółkę: minister finansów i minister kultury, oraz odnośni towarzysze z KC PZPR. Ponieważ w stanie wojennym ceny towarów niebezpiecznie „drgnęły”, pomyślano łaskawie o literatach i ustalono, że stawka podstawowa za arkusz wydawniczy będzie wynosiła wartość średniej miesięcznej płacy w kraju, ale niestety — w poprzednim roku! Ta zasada już na starcie stawała się fikcją, ponieważ literatowi płacono tak, jak wszystkim innym pracownikom gospodarki uśpołecznionej płacono w roku poprzednim. Ale to było już coś: honorarium zmieniło się nby na lepsze każdego roku, a inflacja i drożyzna rosła w sposób umiarkowany, w granicach 30—40 proc. rocznie. Zaczęło się to np. od 22 tysięcy za arkusz w 1985 roku, potem skoczyło na 40, natomiast w roku bieżącym płacono już

A nastawienie się na bardzo intensywną produkcję nabiału oznacza mnogość krów, a to z kolei daje obfitość mięsa. A zatem Podlasie może w krótkim czasie przeistoczyć się w małą nadbużańską Danię. Co stoi temu na przeszkodzie?

Po pierwsze — brakuje mądrej, dalekowzrocznej polityki gospodarczej, zmierzającej do maksymalnego wykorzystania tutejszego bogactwa: łąk i czystości. Po drugie — konserwatyzm podlaskiego chłopów, bardziej przywiązany, niż jakikolwiek inny rolnik, do tradycyjnego modelu gospodarstwa wiejskiego, które wytwarzało wszystko po trochu. Sądzę, że to ostatnie przyszkodziło pokonać łatwiej, bo nawet najbardziej zagorzały konserwatysta robi w końcu to, co daje większe pieniądze. A właśnie z krów byłyby tutaj pieniądze największe.

JESZCZE

Aby poprzeć to przekonującym dowodem, sięgnę do wylceń Józefa Kuśmiera z książki „Nie ma ważniejszej sprawy” (wydanie III, Warszawa 1989). Otóż przy ciągłym niedostatku pasz, świnię karmi się głównie zbożem i ziemniakami. Każdy wie, że jest to hodowla najkosztowniejsza i dająca najmniej korzyści ekonomiczne, bo świnia rośnie wtedy parę miesięcy dłużej niż na wysokobiałkowych koncentratkach. Na Podlasiu musi to być jeszcze mniej opłacalne, gdyż uprawia się tylko żyto i owies, a i to plony są niewysokie.

Wobec parmanentnego niedostatku ropy i węgla, Kuśmirek posługuje się takim oto wylczeniem: „Aby uzyskać produkty pochodzenia zwierzęcego o wartości energetycznej białka równej 1 J (jedna jednostka), trzeba zużyć — w przypadku wołowiny — 25 J paliw kopalnych, a w przypadku wieprzowiny — 42,9 J paliw kopalnych”. Natomiast przy intensywnej produkcji polowej „uzyskujemy z 1 J paliw kopalnych plon równoważny 2—3 J ziarna roślin zbożowych, zaledwie 1,2 J ziemniaków, 6,2 J lucerny, 5,0 J siana i 4,0 J kiszonki z kukurydzy”. A zatem ziemia da kilkakrotnie więcej pożytku, jeżeli zamiast kartofli i zboża uprawiać się będzie paszę dla krów. Doskonałe sery i znakomite befsztyki wołowe mogłyby więc być znakomitym dodatkiem do czystego, pachnącego lasem powietrza, gdyby jeszcze wpadł ktoś tutaj

„Nas może uratować tylko sieć bardeli, gorzelni i browarów!”

JEDNO jest pewne — literaci nie mają szans na podjęcie skutecznej akcji strajkowej w obronie swoich twórczych i bytowych interesów. Nikt ich nie poprze, żadna z liczących się sił politycznych czy gospodarczych. Mogą ich poprzeć aktorzy, plastycy, muzycy, ale całe to bractwo, produkujące nieproduktywne twory ducha, jest teraz tak potrzebne wygłodzonemu społeczeństwu, jak psu łapa numer pięć. Wiedzą o tym nowi i starzy promieniści, doskonale rozumieją to demokraci i zamordyści, ministrowie i premier Mazowiecki. Ten ostatni to może i nie wie, a to z tej prostej przyczyny, że dotychczas jeszcze nie zdążył, nie miał sekundy czasu na to, aby uświadomić sobie istnienie literatów oraz ich problemów.

Sytuacja jest wyjątkowo niekorzystna z innego jeszcze powodu: środowisko literackie jest podzielone. Rozbite na dwa nieprzenikalne, wrogie, skłócone czony. Oba związki — Związek Literatów Polskich oraz powstałe niedawno Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, oba skupiające mniej więcej po połowie literackiej „populacji” — okopały się na swoich pozycjach i zamiast wycelować wszystkie działa propagandy i protestu w stronę swoich wspólnych przeciwników, jak na razie ostrzeliwiają własne pozycje.

PISZĘ te cierpkie uwagi pod wrażeniem chwili, świeżo po powrocie z plenarnego posiedzenia ZG Związku Literatów Polskich. Do niedawna był to w dość powszechnym mniemaniu związek „reżymowy”, powstały na gruzach poprzedniego, rozwiązane w wyniku policyjno-wojsko-

wego aktu, zwanego stanem wojennym. Ale teraz już nie jest to związek „reżymowy”. Jest związkiem opozycyjnym. Związkiem ludzi zagrożonych w ich żywotnych sprawach bytowych i twórczych, na równi z członkami Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pod wodzą prezesa Szczepańskiego. Teraz wszyscy jadą na tym samym skrzydłym wózku ekonomicznej nędzy. Tylko że ZLP, dysponujący instytucjonalnymi agendami dawrego związku, czuje się bardziej odpowiedzialny za sytuację całego środowiska pisarskiego.

Ale to już pozory. Teraz ten „Zlep” — jak go pogardliwie nazywają pisarze strony przeciwnej — nie ma już po swojej stronie tych, którzy patronowali powstawaniu „Zlepu”. Tamci ludzie odeszli, albo dożywają swoich dni na intratnych posadkach i nie zamierzają kiwnąć palcem w obronie ZLP, choćby dlatego, aby nie narazić się nowej władzy. Ktoś na plenum powiedział, że ZLP jest obecnie związkiem opozycyjnym. Jeżeli nim jeszcze nie jest, to znajduje się na dobrej i krótkiej drodze ku temu, aby takim się stać.

Tragizm sytuacji pisarza w tym kraju daje się sprowadzić do dwóch przyczyn. Pierwszą jest zgola żebracza stawka autorska za jego dzieła; drugą — równie tragiczna sytuacja wydawnictw, księgarstwa i przemysłu papierniczego. Sytuacja taka trwa od szeregu już lat, lecz od roku bieżącego stała się katastrofalna z powodu kosmicznej inflacji.

Do czasu tego kosmicznego przyspieszenia inflacji literat jeszcze jako tako wegetował. Otrzymywał nędzne hono-

73 tysiące za arkusz, bo takie okazały się średnie miesięczne zarobki w roku poprzednim, czyli 1988.

Od półrocza wszystko to wzięło w łeb, gdyż inflacja nuszyla w tempie kosmicznym. W sierpniu średnia płaca przekroczyła 200 tysięcy złotych, a z wyjątkami z tytułu zysku przedsiębiorstw — nawet 240 tysięcy złotych. Przedstawiciele rządu obecnie nie kryją obaw, że średnia płaca w grudniu dojdzie do 400 tysięcy złotych.

NĘDZA

Henryk Pojtek

W tej sytuacji resort ministra Krawczulka, składając rozgłaszającego przez całą swoją kadencję, że sytuacja książki i pisarza jest zupełnie dobra, podjął arbitralną, z nikim nie uzgodnioną decyzję: zaproponował ministrowi finansów podniesienie stawki autorskiej tylko o 30 proc., czyli do 95 tysięcy zł.

Ta podwyżka, przyjęta przez rząd, lecz nigdzie dojad wiążąco nie opublikowana, a zatem wciąż nie obowiązująca wydawców, jest jawnie krzywdząca. Katastrofalnie mumiifikuje i tak już spauperyzowany zawód literata, toteż ZLP zgłosił do MKiS oficjalny protest. Oczywiście protest przeszedł bez echa.

W rezultacie tego manewru wynagrodzenie autora spadło do 3—4 proc. ogólnych kosztów produkcji i sprzedaży jego dzieła. Nie ma na świecie w żadnej dziedzinie, produkującej dobrą materialną czy duchową, tak zbrodniczką, tak gangsterską formę wyzysku ludzkiej pracy! Nie wiemy dokład-

na pomysł, że turystyka to także niezły pieniądź.

Tymczasem w Białkopodlaskim tradycyjnie uprawia się zboża, kartofle, buraki cukrowe i hoduje świnię, natomiast pogłowie bydła plasuje województwo na samym dole krajowej tabeli. Urodzaj ziemniaków jest tu permanentnie od lat plagą, toteż administracja wymyśliła, że zbuduje się kilka przetwórci. Budowę dwóch — zaczęto; w Uhninie i Kostomłotach, o zdolności przerobowej trzydziestu pięciu tysięcy ton rocznie każda. Do dwóch dalszych robi się przymiarki. Tak przerobiony kartofel będzie jeszcze droższy, a tutejsze rzeki przemieniają się w kanały ściekowe. W ten sposób utrwalają się kultury żytnio-ziemniaczana, jakiej nikt już na świecie nie kultywuje. A nie kultywuje, ponieważ jest nieopłacalna i zamiast zdrowego, chudego mięsa wołowego, dostarcza tłustą wieprzowinę i smalec.

na Republika Federalna jest całkowicie w tej mierze samowystarczalna. Czy wynik to wzrostu wydajności? Nie tylko. Jest to przede wszystkim skutek zmiany struktury rolnictwa, które znacznie zmniejszyło hodowlę świń na rzecz bydła mlecznego.

* Zresztą krowa to nie tylko mięso plus mleko, ale także doskonałe skóry na buty. To, że w Polsce brakuje dzisiaj obuwia, jest również skutkiem państwowej polityki rolnej. Parę lat temu chłop masowo pozbywał się krów, gdyż ich utrzymanie było nieopłacalne. Dzisiejszy krach nabiałowo-skórzaną przewidzieć więc było nie trudno. I został on przepowiedziany, tyle że — oczywiście — rządu to nic nie obchodziło, a koszty ponosimy teraz wszyscy.

Sięgam do notatek ze swojej rozmowy w białkopodlaskim Urzędzie Wo-

trzeba byłoby wybudować go na nowo. Problem bowiem nie w tym, że on się po prostu rozlatuje po dwudziestu latach pracy bez remontów, należytej konserwacji i bez zwykłej, gospodarskiej dbałości, czego socjalizm nie umiał się przez czterdzieści pięć lat dopracować. Nie, przyczyna jest inna.

Kanał bierze początek tuż za wsią Borowica, niedaleko granicy województw: lubelskiego i cnełmskiego, po czym kieruje się na północ w kierunku Lubelskiego Zagłębia Węglowego i dalej na Podlasie. Przechodzi tuż przy miejscowości Puchaczów, koło którego znajduje się kopalnia węgla „Bogdanka”. Niedaleko jest druga dziura w ziemi, zwana KWK „Stefanów”. Na mapie narysowane jest to jedną niebieską kreską, ale w istocie kanał składa się z całego systemu mniejszych kanałów dopływowych i odpływowych.

i to np., że w piwnicach wielu domów pojawiła się woda. Nikt już nie zadał sobie trudu, aby przerobić projekt i dostosować funkcjonowanie kanału do obecności jednej kopalni. Nie. Po prostu porzucono pracę, bo cóż znaczyło w PRL rolnictwo?

Ale rzecz nie tylko w samym kanale. Na dużym obszarze zakłócone zostały stosunki wodne, zmienił się stan wód powierzchniowych i wód podziemnych. Lustro obniżyło się w wielu studniach, z których woda w ogóle znikła, by pojawić się tam, gdzie jej dotąd nie było. Obniżył się także poziom wielu jezior i stawów. Górnicy zlecili wykonanie w tej sprawie szczegółowej ekspertyzy, ale wykazała ona, że prace kopalniane nie miały żadnego na to wpływu.

Geografowie są przeciwnego zdania, ale zawsze było u nas tak, że rację miał silniejszy. Rolnictwo nigdy nie miało swojego lobby, dlatego dzisiaj nie mamy co jeść, chociaż mamy dużo żyznej ziemi, dużo łąk, dobry dla rolnictwa klimat i wiele rąk chętnych do pracy. Kanał został więc praktycznie zniszczony i jeżeli zależy nam, aby funkcjonował prawidłowo, powinniśmy włożyć w jego odbudowę ogromne pieniądze, których na razie nikt nie ma. Sądzę, że nie byłoby trudno wylizować, jakiego rzędu — w utraconej produkcji zwierzęcej i roślinnej — są te szkody. Taki rachunek byłby pouczającą lekcją w kraju, gdzie przez 45 lat forsowano tzw. brudny przemysł.

I jeszcze jedno: kiedy projektowano lubelskie zagłębie, nie sporządzono ani ekspertyzy ekologicznej, ani rolniczej. Te dwie sprawy, wedle ówczesnych decydentów wszystkich szczebli (tak! — bo nikt nie upominał się o to ani w województwie, ani w gminach) — były zupełnie nieistotne.

Pocieszające jest chociaż to (a wielki to postęp w ciągu ostatnich dziesięciu lat), że nikt w Białej Podlaskiej nie myśli poważnie o budowie wielkich fabryk z dymiącymi kominami. Ze uważa się tutaj, iż przyszłością Podlasia jest rolnictwo. Dodam od siebie: rolnictwo rozumnie wykorzystujące miejscowe bogactwa. Powtarzam to, pouczam, chociaż zawsze uważałem, że dziennikarz nie jest od dawiania rad, ale opisywania tego, co dookoła widzi. Tym razem, jak sądzę, usprawiedliwia mnie szczególna sytuacja. I to, że wreszcie, po tylu latach, poczułem się pełnoprawnym gospodarzem kraju.

O BOGACTWIE PODLASIA

Zastanówmy się: oto z jednego hektara i z jednego kilowata energii (przyczajmy sugestywne wylizania Kuśmierka) otrzymujemy trzy razy więcej jednostek pokarmowych, uprawiając użytki zielone, a nie zboża. Zaś w porównaniu z kartoflami różnica jest aż sześciokrotna, a na dodatek faszkuje się ziemię nawozami azotowymi i chemikaliami, aby uchronić ziemniaki przed stonką. Lucerna natomiast w ogóle nie potrzebuje w glebie azotu, gdyż czerpie go z powietrza. Jest przy tym rośliną wieloletnią, najczęściej trzyletnią, a zatem tylko raz na trzy lata potrzebuje orki i siewu. Aby zebrać plon zboża, trzeba zaś wyjeżdżać na pole osiem razy. I następnego roku znowu to samo, a wszystko po to, aby było czym nakarmić świnię. Czy naprawdę takie to trudne do pojęcia, do wylizania, wreszcie — do rozejrzenia się po świecie?

KRAJE, które słyną z dostatku i taniej żywności, opierają swoje rolnictwo na hodowli krów. Są to: Argentyna, USA, Finlandia, Francja. Nawet skalista Norwegia, gdzie ziemi uprawnej zajmują tylko 3 procenty kraju, potrafi mieć nadwyżki żywności. Znamienny jest przykład Niemiec. Trzecia Rzesza, która obok Anglii miała najbardziej zmechanizowane rolnictwo, musiała importować duże ilości mięsa i zbóż, podczas gdy dwa razy mniejsza i gęściej zaludnio-

jęwódkim. Wiele z tego, co mówi dyrektor Wydziału Rolnictwa, pan Józef Sawicki, zgadza się dokładnie z moimi poglądami. „To my odganiamy rolników od rolnictwa” („my” — czyli władza). Albo: „Przez czterdzieści lat zmarnowaliśmy gminy”. Ale nie rozumiem dlaczego „ziemiak ma zdecydować o tutejszym rolnictwie”.

Jest też jeszcze jeden aspekt sytuacji, w której się znajdujemy, a jest to przecież sytuacja kryzysu, czyli — niedoboru wszystkiego. Powinniśmy dostosować się do tego, co mamy, i zagospodarować to możliwie najlepiej. Krowa oznacza nie tylko kilkakrotnie mniej orania, a więc oszczędności na paliwie i sprzęcie. To także spore zmniejszenie popytu na maszyny do uprawy zbóż i kartofli. Za te pieniądze może mieć rolnik coś innego, a zwłaszcza lepszą infrastrukturę, bo dzisiaj czegoś takiego prawie na Podlasiu nie ma.

Można przypuszczać, że „małą Danią” miała być, według koncepcji Gomułki, ówczesna Lubelszczyzna i dlatego dużym nakładem pracy i pieniędzy zbudowano kanał Wieprz — Krzna. Ale tego rowu z wodą, który po nim do dzisiaj dotrwał, nie sposób nazywać „kanalem”. Aby to coś jako tako działało (a według rolników, kanał nigdy nie funkcjonował prawidłowo),

kanalików, śluz, zastawek i rowów. To wszystko stanowi cały kompleks melioracyjny, czyli takie urządzenie, które podczas suszy nawadnia, a kiedy wody jest za dużo, jej nadmiar odprowadza. Gdyby to wszystko działało sprawnie, trawy byłoby tyle, że wykarmiloby się tutaj trzy razy więcej krów niż obecnie.

Tej mnogości krów jednak nie wiadać. Dlaczego? Otóż kiedy projektowano budowę Lubelskiego Zagłębia Węglowego, zaprojektowano również przebudowę tutejszego systemu melioracyjnego, ponieważ wiele kanałów i kanalików miało zostać zasypanych. Cóż, siedem kopalń, elektrociepłownia, magazyny, warsztaty, haldy wyrobisk, a wreszcie drogi dojazdowe bite i kolejowe. Cała gmina Puchaczów miała zostać przeorana, toteż przebudowę kanału Wieprz — Krzna projektanci potraktowali poważnie. Po czym ruszyła robota.

Aliści okazało się wkrótce, że tych kopalń będzie nie siedem, a dwie, a jeszcze później liczba kopalń zmniejszono do jednej. Rozgrzebane przy kanale roboty po prostu przerwano, troszcząc się tylko o to, aby woda nie zalewała urządzeń kopalnianych. Rolnikami i rolnictwem nikt się nie przejmował, czego skutkiem jest nie tylko całkowite rozregulowanie kanału, ale

nie ile otrzymuje od mafii chłop kolumbijski za liście koki, które są surowcem do wyrobu kokainy. Należy przypuszczać, że placą nieskończoną mało w porównaniu z ceną produktu finalnego — kokainy, ale zauważyć trzeba, że produkcja tego narkotyku jest bardzo pracochłonna, skomplikowana a przy tym niebezpieczna, o czym ostatnio boleśnie przekonują się kolumbijscy bossowie. **Obawiam się, że polski literat otrzymuje mniej więcej tyle samo za**

chlebobawców wywołało oburzenie członków Zarządu Głównego ZLP. Przysięgiono więc do redagowania memoriału do Pani Minister. Co prawda kilku członków plenum mówiło o niej po prostu „Iza”, ale te koleżeńskie konieksje nie wiadomo, czy będą aktualne obecnie, gdy Iza stała się Izabellą Cywińską, ministrem kultury i sztuki.

Memoriał został opracowany dość sprawnie, na fali oburzenia, i — jak na literatów przystało — okazał się

ki o 30 proc., tj. do kwoty 95 tysięcy złotych bez żadnego wniosku co do przyszłości.

Nie jesteśmy w stanie dociec, kto w MKiS i jak skalkulował — w sierpniu — tegoroczną inflację na 30 procent. Stało się to w każdym razie bez jakiegokolwiek kontaktu ze Związkiem Literatów Polskich. Nie możemy tego faktu ocenić inaczej jak odenwaniem się MKiS od krajowej rzeczywistości i arbitralną znieczulicą na katastrofalną sytuację pisarzy. Nasza natychmiastowa interwencja w aparacie MKiS nie odmiosła skutku. Zarząd Główny nie widzi przeto innego wyjścia, jak pociągnąć Panią osobiste wkroczenie w tę sprawę. Pragniemy wyjaśnić, że cała rzecz nie ma żadnego powiązania z wydatkami budżetu państwa i MKiS nie musi nikomu dokładać pieniędzy. Wynagrodzenia autorów mieszczą się w kosztach wydawniczych, odległych od światowego poziomu o 15 proc.

Nasz związek zamierza wystąpić w przyszłości o normalizację zakończenia tego wyżysku autorów, prowadzącego do ich nędzy. Na razie jednak — w najbliższych kilku latach — będą rewaloryzowane umowy wydawnicze zawarte według zasad dotychczasowych. To może ratować tylko szybko i rzetelna rewaloryzacja. **Analogię emerytalną proponujemy dlatego, że jest to sposób najprostsz, nie wymagający dublowania wylizzeń i wyniszczającego siły zmagania się z biurokracją trzech centralnych urzędów.** Liczymy na zrozumienie i pomoc Pani Minister”.

Co na to odpowie pani Iza? Można już teraz imaginować sobie odpowiedź. Będzie wymijająca, wykaże pełne zrozumienie trudnej sytuacji pisarzy itd., itp.

WRÓCMY na salę posiedzenia plenarnego ZG ZLP. Sytuacja książek i stawki autorskiej to jedno, natomiast sytuacja budżetowa związku

to drugie finansowe dno. Krótko mówiąc, **aby dociągnąć jakoś do końca roku, związkowi brakuje 70 milionów złotych na bieżącą działalność merytoryczną i administrację.** W programie posiedzenia widniał punkt: „Życie literackie w oddziałach terenowych”. Prezesi oddziałów po kolei i pcnuro oznajmiali, że życia u nich literackiego żadnego nie ma, bo nie ma pieniędzy! Zagrożone jest samo administracyjne funkcjonowanie oddziałów!

W obliczu bankructwa związku rozgorzała dyskusja na temat szans zarobkowania i oszczędności. Co do rezerw oszczędnościowych, pozostają tylko ciecija w etatach biurowych. Przyjęto więc jako zasadę, że od października oddziały liczące do 20 członków ZLP mogą posiadać tylko pół etatu biurowego, oddziały skupiające od 20 do 40 członków — jeden pełny etat, a oddziały ze stanem powyżej 40 członków — 1,5 etatu. Przypomniano sobie także o składkach członkowskich. Te są obecnie wręcz symboliczne, bo wynoszą 100 złotych. Zaokrągleno więc stawkę przez dodanie jednego zera: **od października przynajmniej posiadania legitymacji ZLP będzie kosztować 1000 złotych miesięcznie.** Czyli miesięcznie budżet będzie zasilany sumą około 600—700 tysięcy złotych, płaconych przeważnie z opóźnieniem, pod koniec roku, a zatem zdewaluowanych do połowy wartości.

Ważnym też mówiło się o szansach prowadzenia własnej działalności gospodarczej, czyli takiej, która by przynosiła związkowi nie tylko obowiązek, lecz także jakiś dochód. Powstał projekt powołania fundacji. Ale na czym zarabiać? I skąd wziąć menedżerów do prowadzenia takiego biznesu? Kilku

LITERATÓW

swoje dzieło, co chłop kolumbijski za liście koki!

Sytuacja przy tym jest podobna: i jeden i drugi nie mogą ani wytworzyć, ani sprzedawać produktu finalnego swojej pracy, muszą zdać się na łaskę i niełaskę mafijnych pośredników. Zresztą sytuacja kolumbijskiego chłopca jest nawet korzystniejsza. Ile by liści wyhodował i zebrał, tyle mafia kupi. Z polską książką jest inaczej: ludzie nie chcą jej kupować. Książka nie jest narkotykiem, nie jest też artykułem pierwszej czy dziesiątej potrzeby.

DYSKUSJA plenarna wokół jałmużny, zaproponowanej przez MKiS ministrowi finansów, zaczęła się od pomurnych przypomnień, że nowa pani minister kultury i sztuki w jednym ze swoich pierwszych wywiadów dla prasy oznajmiła, iż jej resort nie zamierza popierać systemu sztywnych stawek autorskich. Pozostawi to do indywidualnych ustaleń między autorem a wydawnictwami. Takie pozostawienie literata na łaskę jego

dbugi i rozgadany, co skrytykował sędziwy Kolega Michał Rusinek. W sumie jednak dokument trafnie punktując najbardziej bolące miejsca, potrzybał i postulaty środowiska literackiego. W konkluzji czytamy tam:

„Rząd wyraził publicznie obawę, że średnia placą może w grudniu dojść do 400 tysięcy złotych. W obliczu tego zjawiska rząd podwyższył z ważnością od 1 lipca zwaloryzowane w marcu renty i emerytury o 120 procent. W ostatnich dniach zapowiedziano ich dalsze rewaloryzacje co kwartał. Stawka podstawowa wynagrodzeń autorskich spadła w sierpniu do jednej trzeciej płacy pracowniczej. W tej sytuacji Związek Literatów Polskich wystąpił 1 sierpnia do Ministerstwa Kultury i Sztuki o pilne zastosowanie wobec tej stawki takich samych zasad rewaloryzacji, jak wobec rent i emerytur. 21 sierpnia Ministerstwo Kultury i Sztuki wystąpiło do ministrów finansów oraz pracy i polityki społecznej o zgodę na jednorazowe zwaloryzowanie tej staw-

Gorące Wilno

MIĘDZY OSTRĄ BRAMĄ
A OSTRYM FELIKSEM

Henryk Makarski

MIJAMY główną bramę Rosy. Na lewo — tzw. Górka Literacka. Naprzeciw siebie stoją grobowce Czurlionisa (zmarł koło Warszawy) i Syrokomli.

— 1 listopada przy tych grobowcach grupuje się młodzież polska i litewska. Trwa rywalizacja: kto więcej i ładniej zapali i ukwieci, no i śpiewy są, i okrzyki, ale w normie. Milicja nie musi interweniować... — informują znajomi.

Wyblakła rdza i cień zaniedbania na grobowcu Ludwika Kondratowicza. Napis: „Władysław Syrokomla, ur. 17.IX. 1823 — zm. 1862. Osierocona żona z dziećmi tę pamiątkę poświęca. Skonał grając na lirze. „Cześć Twej pamięci lirniku wioskowy. Twym piosnkom wieczna niech będzie cześć! Ty w naszych sercach pomnik wiekowy trwalszy nad granit umiałeś wznieść. M. K. Z. B. Sobolewski”.

Idziemy dalej. Oto kaplica cmentarna, pseudogotycka budowla z czerwonej cegły, połowa XIX wieku, zamknięta od lat, obwarowana ze wszystkich stron drewnianymi rusztowaniami. To już kolejna próba remontu. Przed kilku laty też zaczęto, ale remont przeciągał się tak długo, aż rusztowania zgnily... Przy samej kaplicy jakiś bardzo zaniedbany obelisk, pochłapany plamami czarnej farby. Popiersie i tylko jedno słowo: „Lelewel”. I jeszcze daty: „1786—1861. 1929”. A gdzie na zboczach: „Euzebiuszowi, ojcu Juliusza Słowackiego, prof. Uniw. Wileńskiego. Ur. 1772—1814”.

Oto Chrystus wylupany z żelaznego krzyża; pozostały jedynie stopy i dłonie przybite gwoździemi. Oto przejmujący widok figury Matki Boskiej bez głowy i rąk. Oto miejsce po zdjęciu polskiej hrabiny, wydartym z marmuru. Do rzadkości należą ocalałe owalne medaliony. Pomnik nagrobny Jana Kazimierza Wiłczyńskiego, słynnego wydawcy, autora „Albumu wileńskiego”; po fotografii zieje tylko pusta jama. Haniebne ślady wrogości wobec krzyża, wobec polskiego nazwiska, wobec arystokratycznego pochodzenia. Ślady łomu, młotki, żrącego kwasu, którym zacierało inskrypcje.

Przez ponad 50 lat Rossa była miejscem antypolskich ekscesów, aktów wandalizmu i profanacji, a często — po prostu — obiektem nocnych wypadów złodziei. Cenne marmurowe płyty były kradzione z Rosy i „powtórnie używane” na innych wileńskich cmentarzach. Znikaly krzyże, anioły, madonny, quasi-antyczne kolumny, a także zwyczajne — acz o dużej wartości handlowej — płyty. Aż dziw, że ocalał Czarny Anioł — pomnik nagrobny Izy Salmonowiczówny, najpiękniejszy na Rossie...

Władze nie dość energicznie przeciwdziałały dewastacji. Wystarczy powiedzieć, że ta cmentarna galeria unikalnych dzieł sztuki klasy zerowej nie została ujeta w żadnym rejestrze zabytków! Oznacza to, że można bezkarnie rabować coś, czego zniknięcie i tak nikt oficjalnie nie odnotuje... A i czas zrobił swoje; przez pół wieku wiele pomników rozpadło się, kruszało, obrastało mchem, a granica była zamknięta dla rodzin... Są tu i takie zakątki, w których nie ma już nawet śladu nazwiska. Piłsudscy — to nie tylko matka i serce jej syna. W niezłym stanie przetrwała płyta na grobie pierwszej żony marszałka, Marii z Koplewskich Piłsudskiej (1866—1921). Natomiast już tylko w ludzkiej pamięci pozostały groby jego braci: wiceprezydenta Wilna, Adama Piłsudskiego (1869—1935) i Kaspra Piłsudskiego (1879—1915), a także siostry — Ludwika Majewskiej (1880—1924) oraz zmarłych w wieku niemowlęcym Piotrosia i Teonii Piłsudskich (1884). A udziec się podziwały katakumby, w

których m.in. pochowano Franciszka Smuglewicza, najsłynniejszego malarza wileńskiego? Pozostały tylko pojedyncze płyty, porozrzucane po mrocznych zboczach cmentarza...

— Rossa to świadectwo wspólnej historii Polaków i Litwinów w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, historii sukcesów, ale i bolesnych powikłań... — mówią w skupieniu moi wileńscy znajomi.

Kiedy się patrzy na nagrobki, na te ocalałe i te, których już nie ma — nie sposób nie przyznać im racji...

ZNAJOMI opowiadają mi o sprawie, która zbulwersowała całe Wilno, czyli o projekcie przeprowadzenia przez Rosę magistrali samochodowej do Mińska. Droga miała iść przez sam środek nekropolii, tzn. uliczką (dawniej: Listopadowa), oddzielającą Starą Rosę od Nowej. Uliczka jest bardzo wąska, a poszerzenie jej do rozmiarów autostrady oznaczałoby zniszczenie części cmentarza, w tym cmentarzyka wojskowego z Płytą Piłsudskich. Władze miasta oczywiście zapewniały, że nie Rosie nie zagraża, a tymczasem autostradę dociągnięto już do samego cmentarza. W społeczeństwie zawrzało, rozpoczęły się protesty, alarmujące publikacje (duża zaśluga „Czerwonego Sztandaru”), no i... budowę wstrzymano.

Ale nie oznacza to, że wilnianie odetchnęli z ulgą. Otóż odpowiedzią władz na społeczne narzekania na temat złego stanu Rosy (a także cmentarza Bernardyńskiego i Antokolskiego) była zapowiedź ponownego rozpatrzenia „kwestii funkcjonowania cmentarza”. Miała się tym zająć grupa inicjatywna „Rasu”, powstała przy Litewskim Funduszu Kultury. Ale rzecz w tym, że Rossa od dawna jest już nekropolią zamkniętą. Czytelnicy „Czerwonego Sztandaru” ślą rozpaczliwe listy, protestujące przeciwko grzebaniu zmarłych działaczy kultury w przepęczonych starych grobach (jedna z „recept” odnowienia Rosy).

— Już wyrzuca się z co ładniejszych grobów szczątki Polaków i grzebie Litwinów. Świadcza o tym świeże tablice z litewskimi nazwiskami na XVIII- i XIX-wiecznych nagrobkach! — burzą się „tutejsi”. Mówią, że to barbarzyństwo i wandalizm w majestacie prawa. Ze powtórzy się los mogił na wojskowym cmentarzu na Antokolu. Ze będzie to taka sama hańba, jak zbudowanie pałacu ślubów na mogiłach cmentarza protestanckiego (fakt!) czy brukowanie wileńskich ulic kamieniami z pomników na cmentarzu żydowskim...

O ile protest przeciwko rozcięciu nekropolii na pół przez autostradę był jednomyślny, o tyle sprawa „ożywienia” Rosy nie jest tak jednoznaczna. Nawet niektórzy Polacy uważają, że najbardziej Rosie jest potrzebna obecność ludzi przychodzących na rodzinne groby. „Żywy” cmentarz nie jest tak narażony na kradzieże i akty profanacji, jak martwa, bezładna nekropolia. Można zmarłych grzebać w części cmentarza położonej w dole i na prawo od kaplicy. Tam mogiły są obrządem zupełnego opuszczenia; tylko gruz i porośle chwastem kopczyki. A prawo stanowi, że groby wolno likwidować, jeśli po 70. latach od pochówku nie są doglądane.

Coraz rojniej na Rossie i widać, że apel (opublikowany m.in. na łamach „Czerwonego Sztandaru”) o zainteresowanie się zaniedbanymi grobami, pod groźbą likwidacji, zrobił swoje. Grupy młodzieży z polskich szkół w Wilnie coraz częściej tu bywają; razem z nauczycielami porządkują opuszczone mogiły. A i turyści odwiedzają Rosę — nareszcie normalnie, bez obaw i ukradkowego „urywania się” wieczorową porą ze zbiorowych wycieczek. Autokary z polską rejestracją podjeżdżają pod samą bramę cmentarza. Na

wielu grobowcach jaskrawią się świeże kwiaty, płoną znicze, leżą monety z orzełkiem na wierzchu.

Wędrujemy po cmentarnych alejkach. Ileż tu nazwisk z podręczników historii, z okładek dzieł literackich, z dyplomatycznych salonów i rzeźbiarskich pracowni, z arystokratycznych pałaców i rewolucyjnych garsonier, na których dzisiaj pamiątkowe tablice... A prawie każdy nagrobek to małe dzieło sztuki, omszały owoc inwencji twórczej kamieniarzy, rzeźbiarzy, architektów. Dziś takich cmentarzy już nie ma. Dzisiejsze cmentarze to miniatury betonowych pustyni naszych mieszkaniowych osiedli. Bo cmentarz to tylko przedłużenie tego, do czego przywykliśmy w życiu doczesnym.

— Odwiedza się dzisiaj Rosę i porządkuje. Jest przez to mniej ponura w starczej samotności. Ale to za mało... — mówią wileńscy znajomi. Marzą o tym, by na Rosę wkroczyli wreszcie konserwatorzy zabytków. Niby plany już są, ale nie będą realizowane w pierwszej kolejności. Pierwszeństwo restauracji mają żywi, zamieszkujący najrozleglejszą we wschodniej Europie starówkę. Umarli muszą więc poczekać...

NA koniec zabytkowych peregrinacji jeszcze jedna triada, niekoniecznie — tym razem — architektoniczna, aczkolwiek warta zapamiętania w takiej właśnie kolejności.

Po pierwsze — samotna zagroda z XIX wieku, drzemiąca gdzieś wśród sosen na peryferiach Wilna, dworek Georgija Puszkina — syna Poety. Mieści się tu muzeum literackie. Oglądam rzadkie edycje („Ruslan i Ludmila”, „Jeniec Kaukazu”, „Cyganie”), opublikowane jeszcze za życia Aleksandra Puszkina. Wiele miejsca poświęcono Adamowi Mickiewiczowi i innym pisarzom związanym z Puszkinem. Staje mi przed oczyma niewielki gmach byłej cerkwi Piątnicy przy dawnej ul. Gorkiego 44, w której w roku 1705 car Piotr I osobiście ochrzcił dziadka Aleksandra Puszkina — Afrykańczyka o dwójczym imieniu Hannibal...

Po drugie — nowoczesna kompozycja klocków z betonu i „kabaretowych” schodów przy ul. Studentu 8, w nowym miasteczku akademickim: Muzeum Rewolucji. Ekspozycja od socjaldemokratów po II wojnę światową i współczesność. Wstrząsające wrażenie robią narzędzia tortur, stosowane przez polskich legionistów wobec komunistów litewskich...

Po trzecie — Dzierżyński. Ulicą Papucio wspinamy się coraz bliżej nieba. Na samej górze kierowca zatrzymuje auto. Numer 26. Dom-muzeum Feliksa Dzierżyńskiego. Drewniany schludny domek prezentuje się krzepko, a marmurowy pomnik Feliksa Edmundowicza wygląda przytulnie wśród kwitnących bzów. Czysto zamiecione podwórko. Na oszalowanej deskami ścianie, między gankiem a okiennicami, miesiąca płyta. Napis w dwóch językach (litewskim i rosyjskim): „W tym domu w latach 1895—96 mieszkał F. E. Dzierżyński.” Z płaskorzeźby E. Varnasa spogląda twarz 18-letniego wówczas rewolucjonisty. Tu, w Wilnie, wstąpił na drogę walki rewolucyjnej Feliks Dzierżyński — jeden z ponad 100-tysięcznej rzeszy Polaków uczestniczących w wydarzeniach 1917—1920 roku w Rosji po stronie sił rewolucyjnych. Pierwszy z nich, prawa ręka Lenina. To tu mieszkał po powrocie z Kowna, gdzie był wielokrotnie aresztowany za działalność rewolucyjną. W tym domu, na polecenie partii socjaldemokratów, zorganizował nielegalną drukarnię; stąd utrzymywał łączność z rewolucjonistami Polski i Rosji.

Ekspozycja muzeum jest poświęcona głównie litewskiemu okresowi działalności Dzierżyńskiego, jego dzieciństwu, rodzinie. Opowiadają o tym książki,

wspomnienia, obrazy, prezenty podarowane muzeum przez osoby prywatne, organizacje i instytucje. Gabinet roboczy „Żelaznego Feliksa”, zwanego też „Feliksem Ostrym”. Stylowa szafa, etażerka, stół i krzesła — rzeźbione w dębie XIX-wieczne meble tchną solidnym spokojem. To zadziwiające, jak mało — w gruncie rzeczy — wiemy o życiu tych, którzy zmieniali historię ludzkości. Najczęściej wystarcza transparent, umieszczony na spirozowym cokole...

Dzierżyński urodził się 11 września 1877 roku w polskiej rodzinie drobno-szlacheckiej w majątku Dzierżyńnowo w powiecie oszmiańskim wileńskiej guberni. Ojciec, Edmund Rufin Dzierżyński, był nauczycielem matematyki. Zmarł, kiedy Feliks nie miał jeszcze pięciu lat. Wychowano Feliksa w atmosferze opowiadań o bestialskim zdławieniu powstania styczniowego przez generała gubernatora wileńskiego, Murawjowa, zwanego „Wieszatkiem”. Młody Feliks przez 9 lat uczęszczał do Pierwszego Gimnazjum Męskiego, mieszczącego się wówczas w gmachu Uniwersytetu Wileńskiego, zamkniętego w owych czasach przez władze carskie w ramach represji popowstaniowych. W roku 1894 jako 17-letni uczeń wstąpił Dzierżyński do socjaldemokratycznego kółka samokształceniowego. W tym też czasie wraz z kilkoma kolegami złożył uroczystą przysięgę, że będzie walczył do ostatniego tchu ze wszelkim złem, uciskiem i niesprawiedliwością. Samodzielnie studiując marksizm, prowadził pod pseudonimem „Jacek” kółka terminatorów w fabrykach i warsztatach wileńskich. Robociarzy uznawano za swego i zwał po swojsku — „Feluk”. Wiosną 1897 roku skierowano go do Kowna, gdzie agitował i uczył się organizować strajki, pracując jako prosty robotnik w zakładzie introligatorskim. Po trzech miesiącach padł ofiarą zdrady. Zadenuncjował go pewien wyrostek, za przyobiecane przez żandarmów 10 rubli. Z więzienia pisał Dzierżyński do siostry Aldony: „Choć jestem w więzieniu, ale nie upadłem na ducha. Więzienie jest straszne tylko dla ludzi słabego ducha”. Te słowa pisał 19-letni zaledwie młodzieniec... A po ucieczce z zesłania w guberni wiackiej stwierdził: „Uciekłem stamtąd, na łódce, bo zanadto już dręczyła tęsknota...”

Kiedy opuszczam skromny budynek muzeum, dźwięczą mi w uszach słowa „Żelaznego Rycerza Rewolucji”, zacytowane przez przewodniczkę: „Być jasnym promieniem dla innych. Samemu promieniować światłem — oto najwyższe szczęście dla człowieka. Wówczas człowiek nie lęka się ani ciemności, ani bólu, ani bied, ani nędzy. Wówczas człowiek przestaje bać się śmierci, chociaż dopiero teraz nauczył się naprawdę kochać życie”.

Na krzaku bzu ćwierka ptak, bez pachnie. Zamykam furtkę...

ULICA Suboczniu pnie się śmiałym zakolem pod górę. Stąd roztacza się najpiękniejsza panorama Wilna. Wszystkie wieże najrozmaitszych stylów i epok widać jak na dłoni. Dachówki czerwienią się poziomym spokojem w majowym słońcu. Barbakan drzemie wśród starych kamieniczek. I jest tak, jak w wierszu Józefa Czechowicza:

*w ciszy niebieskiej welnie
wilno kościelne
spi
białe jak gołąb.*

Albo tak, jak w Czechowiczowskim echu, zapisanym w wiele lat później przez Czesława Miłosza:

„O białe, białe, białe. Białe miasto, którym niosą chleb i warzywa kobiety urodzone pod znakami wracających moich zodiaków. Ech, gołębie w zamieszkanym albo pustym, nikt nie troszczy się, niebie. Wielki mój lament, bo myślałem że może trwać rozpacz i że może trwać miłość. W białym mieście, które nie żąda, nie zna, nie nazywa, a było i będzie...”

I dalej, w innym wierszu Czesława Miłosza:

*Zachodzi słońce nad łożą
Gorliwego Litwina
I jeszcze ogień na malowanych
z natury portretach roznieca.
Tam sosnę objęła Wilija, czarne
miody niesie Zejmiana,
Mereczanka spi z jagodami koło
Zegaruna.*

(Koniec)

Dokończenie ze str. 1

Rzeczywistość nie była tak bardzo odległa od opisu. Grobowiec wymagał ogrodu ze studnią, z której można było czerpać wodę dla podlewania roślin, a ponadto osobnego miejsca, gdzie w rocznicę śmierci rodzina i przyjaciele urządzali biesiadne spotkania. Całość uzupełniała półkolista ława dla wypoczynku odwiedzających grób. Znane z Rzymu grobowce Cecylii Metelli czy piekarza M. Wergiliusza Eurysacetesa dobrze ilustrują okazałość tego rodzaju budowli. Wielu przykładów dostarczają również Pompeje.

Zamkniętych cmentarzy, tak jak dzisiaj, Rzymianie nie znali. Grobowce lokowane były przy drogach wyściowych z miasta, gdzie przechodnie mogli łatwo dostrzec napis i przeczytać imię zmarłego. Często, rzymskim zwyczajem, napisy zwracały się do przechodzących: „Zatrzymaj się przechodniu i czytaj!”

NAPISY nagrobkowe służyły oczywiście utrwaleniu imienia zmarłego, ale zawierały też szereg dodatkowych informacji. Po tradycyjnej formule „Diis Manibus” (poświęcone duszom zmarłych przodków), następowało określenie osoby, która grobowiec wystawiła, wraz z oznaczeniem jej pozycji prawnej i społecznej. Wyjątkowo tylko spotyka się daty uroczoności i śmierci; prawie zawsze — wiek zmarłego w latach, często w miesiącach i dniach; u dzieci — także w godzinach. U małżonków — lata przeżyte razem. Do typowych składników inskrypcji należało też oznaczenie w stopniu rozmiarów grobowca. Kończyła napis tradycyjna formuła: „Niech ci ziemia lekką będzie” i podobne.

Napisy nagrobkowe były bardzo zróżnicowane: od paru słów do całych mów pochwalnych. Inskrypcja grobowca było osobistym prawem obywatela, który decydował o jego treści, określonej m.in. właśnie napisem na nagrobku. Wystawienie grobowca i opatrzenie go stosownym napisem było więc nie tylko obyczajowym aktem, lecz również indywidualnym aktem prawnym, tworzącym określone uprawnienia dla fundatora grobowca i oznaczonych w inskrypcji osób.

Przed naruszeniem postanowień inskrypcji ostrzegano niekiedy również w samym napisie:

„Grobowiec ten nie należy do dzieci. Jeśli napiszę na tym pomniku nazwisko jakiego kandydata (do miejsca w grobie), niech nie będę zdrów”.

Napisy na grobowcach zawierały ponadto inne szczegółowe zakazy, w szczególności co do otwierania grobowca, wstępowania na jego teren czy innych naruszeń. Często zakazy takie obwarowane były groźbą klątwy ze strony niepokojonego zmarłego. Zachowywały się liczne przykłady. Mogła to być tylko prosba: „Nie ruszaj moich kości”, mogło być mniej deprymujące ostrzeżenie: „Daruj sobie deptać moje prochy swymi bezczelnymi nogami”. Groźniej brzmiały ostrzeżenia: „Kto naruszy ten grób, ten niech będzie pozbawiony wody i soli”, albo — „Kto wyjmie stąd gwoździe [przytrzymujące tabliczkę z napisem na urnie], ten niech się ukłuże nimi w oczy”. Praktycznym problemem były fizjologiczne zanieczyszczenia grobów. Wspomina o tym już Petroniusz w przytoczonym fragmencie „Ucztę Trymalchiona”, planując wyznaczenie wyzwolenca do stróżenia grobu, by lud nie załatwiał swych potrzeb na pomniku. Obawy takie potwierdzają inskrypcje, rzucające klątwy za takie postępowanie: „Kto tu się wypróżni, na tego niech przyjdzie gniew niebiańskich i podziemnych bogów”.

Poważniejsze znaczenie miały w praktyce te inskrypcje, w których działania przeciwko zawartym w nich rozporządzeniom obłożone były karami majątkowymi. Zwykle była to oznaczona dokładnie suma pieniężna jako grzywna na rzecz oznaczonej jednocześnie instytucji, np. świątyni, gminy, skarbu państwa lub, później, Kościoła. Spotkać można też zastrzeżenie że sprawca naruszenia grobu utraci swój majątek na rzecz gminy. Czy i jak były takie grzywny i inne kary majątkowe egzekwowane, nie wiadomo. Być może działał skutecznie autorytet kapłanów i nacisk opinii publicznej.

Napisy nagrobkowe są niezwykle bogate w informacje dotyczące życia i obyczajów starożytnych. Można z nich m.in. odczytać funkcje i urzędy publiczne piastowane w Rzymie, odtworzyć strukturę i skład rzymskich wojsk oraz ich rozmieszczenie. Dostarczają bogatego materiału o życiu codziennym, wykonywanych zawodach, wykształceniu, podróżach, upodobaniach i rozrywkach. Zawierają też wiele elementów prawnych, zwłaszcza z prawa osobowego (np. obywatelstwo, status wyzwolenca, niewolnictwo), rodzinnego (małżeństwo i krewni) oraz spadkowego. Odzwierciedlają również poglądy filozoficzne i postawy życiowe.

Znaczenia te można by mnożyć. Nie sposób też je wyczerpująco przedstawić, ale można zilustrować przykładami.

ZACZNIJMY od ogólnych kwestii związanych z prawem i obyczajami. Należać tu będą pochwały dobrych obyczajów i zacności zmarłego. Oczywiście o zmarłych nie mówi się źle, ale też nieczęsto spotyka się pochwały, nie będące stereotypowymi formułkami. Najczęściej laudacje odnoszą się do matki lub żony, albo, odpowiednio, do ojca i męża. O nich będzie mowa niżej. Tu natomiast kilka inskrypcji zawierających etyczną ocenę człowieka.

Lucius Faenius Alexander
wyzwoleniec Luciusa [...] pochodzący z Puteoli,
mąż najszlachetniejszy, żył dobrze.

PRAWO, OBYCZAJE I... ŚMIERĆ

Zwięzłe określenia: „póki żył, żył dobrze”, „żył godnie” spotyka się dość często.

Dla ustalenia wartości, jakie decydowały o wysokiej ocenie etycznej, wymowny jest bardzo nagrobek dla niejakiego Gargiliusa Hemonia:

[...]pedagog, wyzwoleniec,
pobożny i nieskazany,
żyłem, jak długo mogłem, bez procesu,
bez kłótni, bez sporu,
bez długów. Przyjaciółom
okazywałem dobrą wiarę; ubogi
majątkiem,
duchem najbogatszy.
Niech ma się dobrze ten, kto
przeczyta ten napis.

O wartości człowieka decydowało więc nie pochodzenie, lecz jego życie. Podkreśla to wyraźnie inna jeszcze inskrypcja:

Urodzona byłem z rodziców
obojga wyzwolenców,
ubogich majątkiem,
bogaty obyczajami.

Refleksja o życiu i nieuchronnej śmierci często pojawia się w nagrobkowych napisach, w różnych zresztą ujęciach: pesymistycznym, optymistycznym czy po prostu pełnym zadumy nad człowieczym losem. Często formułą było: „Nie byłem, nie jestem, o nic się nie martwię”. Nieco inaczej brzmi zdanie: „Nie ma niczego bardziej ostatecznego niż śmierć, ale też bardziej pożytecznego”. Niekiedy są to praktyczne, życiowe porady, udzielane za grobu:

Zyj dobrze, kolego! Dlaczego?
Bo po śmierci nie będzie już ani
śmiechu,
ani zabawy, ani żadnej przyjemności.

Pesymistycznie brzmią sentencje o wątpliwej wartości dobrego życia: *Popatrz, przechodniu: dobrych los też nie oszczędza.*

Albo:
*I cóż masz teraz z tego,
że żyłeś tyle lat bez zarzutu?*

W ogóle w sens życia wątpliwy inny napis:

*Jesteśmy i mówimy, czym jest
właściwie nasze życie.
Właśnie żył człowiek wśród nas
i już go nie ma.
Stoi tylko kamień i imię,
poza tym żadnych śladów.
Czym więc jest życie?
Nie ma o co nawet pytać.*

Pesymizmowi przeciwstawił się jednak epikurejski optymizm, nakazujący korzystać z przyjemności życia.

*Ty, który tu stoisz i czytasz mój
napis:
baw się, żartuj — i przyjdź.*

Nastawienie do życia i śmierci zmienia się w inskrypcjach chrześcijańskich:

*Po wypełnieniu swojego obowiązku,
jaki dał jej los,
umarła w nadziei na lepsze życie [...]
Rzymskiego pochodzenia jest wreszcie znana i dzisiaj mądrość nagrobkowa:
Przechodniu, przechodniu,
byłem, kim jesteś,
jestem, kim będziesz.*

Wiele miejsca zajmują w nagrobnych napisach sprawy małżeństwa i rodziny i dzieci. Obraz małżeństwa i rodziny, jaki wyłania się z materiału epigraficznego, jest jednak nieco mylący, bowiem wszystkie opisane na nagrobkach małżeństwa były — w tym ostatecznym już ujęciu — szczęśliwe i zgodne, a zmarły małżonek jest prawie zawsze najlepszy, najdroższy i niezastąpiony. Z tymi zastrzeżeniami możemy przyrzeć się kilku inskrypcjom małżeńskim. Tu, dla przykładu, posłużymy się pochwalnym epitafium:

[...] Postumia Matronilla,
niezrównana żona, dobra matka,
godna największego szacunku babka,
skromna, pobożna, pracowita,
dzielna, energiczna, czujna, troskliwa,
wierna jednemu mężowi i mężczyźnie,

pani domu pełna pilności i zaufania.

W pochwałach obyczajności zacnych matron rzymskich znajdują zawsze wyraźne podkreślenie ich dobre obyczaje. Były też inskrypcje proste, lecz wzruszające:

Przechodniu! Powiem słów kilka:
stań i przeczytaj!
Grobowiec tu jest piękny kobitej
kobiety.

Rodzice Klaudj ję nazwali.
Męża swego z serca całego kochała,
Dwóch synów na świat wydała: z
tych jednego
w ziemi złożyła, drugiego na ziemi
pozostawiła.
Słowa jej wdzięku były pełne, ruchy
pełne powabu.
Domem się opiekowała, welnę przędła.
Skończyłem. Odejdź.

Czasami jednak i mężowie zasługiwali na wdzięczną pamięć:

Czułemu i niezrównanemu mężowi
Placideia Hedone wystawiła ten
wspólny grób,
aby po 35 latach wspólnego
przyjemnego życia
w pełnej zgodzie nie być rozdzielona
i w grobie.

Na osobną uwagę zasługują inskrypcje, w których zawarte jest przyrzeczenie niezawierania ponownie związku małżeńskiego:

Kwintus Tumpius Hermeros wznosił
ten grobowiec
Skrubonii Hedone, żonie najdroższej, z
którą przeżył 18 lat bez słowa skargi,
a z miłości do niej przysiągł, że już
innej żony mieć nie będzie.

W innym epitafium, dla zmarłego w wieku 23 lat męża, żona przysięga, że nie będzie miała już innego męża. Nadzorować wypełnienie przysięgi miał powierniczy dziedziec. Przypomina to sytuację znaną ze źródeł prawnych, gdy mąż sporządzał testament, w którym ustanawiał swą żonę sukcesorką majątku, jednakże pod warunkiem, że nie wyjdzie ona powtórnie za mąż.

Jak widać, wymagający pozagrobowej także wierności małżonek mógł następcy praktycznych bardzo kłopotów.

Bez przesady można powiedzieć, że napisy nagrobkowe są pełne życia! Oto nagrobek gladiatora:
*To jest nagroda za moje zasługi:
pozdrawia się mnie imieniem
i jestem jeszcze po śmierci: Felix,
któremu drodzy współtowarzysze
zapewnili*

*tylko napisem wieczne wspomnienie.
Bądźcie zdrowi i niech wam arena
służy!*

Obok dotyczących gladiatorów, znaleźć można w inskrypcjach nagrobkowych pochwały dla wyróżniających się graczy w piłkę, w latrunculi (rodzaj szachów) czy w grze kostkami. Sławiać niejakiego Ursusa jako znakomitego gracza w piłkę epitafium zawiera inną jeszcze ciekawostkę: zachęca do wypicia na jego cześć wina — Falerna, Sotina lub Cekuba. Tak więc uwiecznione zostały, nie tylko w poezji żywych, ulubione i szlachetne gatunki win. W innych napisach wino łączy się z dalszymi przyjemnościami w zachętach do korzystania z rozkoszy życia. Odnaleźć w nich można też coś z hasła utracjusza:
*Co zjadłem oraz wypilem, to mam;
co pozostawiłem, przepadło.
Dopóki żyłem, chętnie piłem;
pijcie i wy, którzy żyjecie.*

Jeszcze pełniejsze w treści życia są następne inskrypcje:

*Łażnie, wino i miłość niszczą nasze
życie,
ale też łażnie, wino i miłość składają
się na życie!*

Napisy nagrobkowe przynoszą też informacje o wypadkach i wydarzeniach niecodziennych. Tak np. nie znany nam Seius Dalmatus zginął podczas pożaru; a niewolnik Latro, lat 12, zmarł ukarany przez żmię. W innym epitafium mąż opłakuje żonę i córkę, przygniecione walącym się murem, gdzie indziej zaś spadł z ru-

szowania i zabił się chłopiec układający mozaikę. Wypadki drogowe znajdują swe potwierdzenie w nagrobku chłopczyka, który, zajęty zabawą na ulicy, został przejechany przez wóz.

Odnaleźć można w tych zapisach również kronikę kryminalną. Niejaka Julia Rostuta została zamordowana z powodu bizuterii, zaś Julię Maianę zabił okrutny mąż. M. Klodiusz Macer, lat 20, został uduszony. Waleriusz Marcus — zabity przez bandytów. Historię zabójstwa pana przez niewolnika przynosi inny nagrobek:

Jukundus, wyzwoleniec Marka
Terencjusza, hodowca bydła.
Przechodniu przygodny, który czytasz
ten napis,
zatrzymaj się i dowiedz się, jak się
załę — ja
nędznie zgładzony. Nie dane mi było
żyć dłużej
niż trzydzieści lat — albowiem
pozbawił mnie życia
niewolnik, a'e sam potem rzucił się do
głębokiej
rzeki; Men zabrał mu to, co on zabrał
swemu panu.
Grobowiec ten wystawił patron na
własny koszt.

Nie ma natomiast wzmianek o śmierci samobójczej. Rzymianie mieli wprawdzie liberalny stosunek do samobójstwa i częściej je tolerowali niż potępiali, ale zachowywały się też wzmianki o dawnym zakazie pontyfikalnym urządzania pogrzebów dla osób, które pozbawiły się życia przez powieszenie. Znane jest postanowienie stowarzyszenia przedsiębiorców pogrzebowych z II wieku n.e., że samobójcy nie znajdują u nich pochówku. Również prawnicy rzymscy stwierdzają, że — zgodnie ze starodawnym obyczajem przodków — po samobójcy nie obowiązuje żałoba. Jest więc oczywiste, że samobójstwo nie należało do przyczyn śmierci godnych ujawnienia.

Rzymianie kończyli zwykle swe ostatnie słowa, uwiecznione w kamieniu, pozdrowieniem dla przechodniów i czytających napis. Wypada zatem i ten tekst zakończyć w ten sposób:
*Przeczytałeś, to idź, bądź zdrow i
niech
ci się dobrze powodzi!*

Marek Kuryłowicz

Tekst powyższy jest inwariantem fragmentu książki pl. „Prawo i obyczaje w starożytnym Rzymie”, złożonej do druku w Wydawnictwie Lubelskim. Autor jest profesorem na Wydziale Prawa i Administracji UMCS, kierownikiem Zakładu Prawa Rzymskiego oraz profesorem na Wydziale Prawa Kanonicznego i Świeckiego KUL.

NA zaproszenie Centrali Banku Raiffeisena na Górą Austrię przebywała z dziesięciodniową wizytą w Linzu grupa pracowników naukowych Sekcji Ekonomicznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Pobyt miał charakter studyjny, obejmował cykl wykładów, zaznajamiał ze strukturą organizacyjną banku, jego inwestycjami; prezentowano lublinianom również przedsiębiorstwa i organizacje gospodarcze powiązane z Raiffeisenem. O wrażenia z tego pobytu zwróciliśmy się do dr. Andrzeja Lulka, starając się jednocześnie uchwycić to, co może być przydatne dla polskiej gospodarki, co bez większych nakładów daloby się zastosować u nas.

— Spróbujmy może na początek zaprezentować sam Bank Raiffeisena. Jest to przecież instytucja z wielkimi tradycjami. Na formule raiffeisenowskiej oparte były między innymi i Kasy Stefczyka.

— Istotnie, jest to szacowna instytucja, licząca sobie ponad 100 lat. Bank działa dzisiaj przede wszystkim w Austrii oraz w Niemczech, ale w okresie zaborów jego oddziały mieściły się także na ziemiach polskich. Jest to bank specyficzny, znacznie różniący się od innych. Jego działalność od samego początku oparta była na pewnym katalogu zasad, wyprowadzanych ze społecznej nauki Kościoła. Konkretnie jest tych zasad dziesięć. Idea podstawowa — spółdzielczość. Członkami banku są rolnicy jako kredytobiorcy, ale równocześnie udziałowcy. Zasada podstawowa brzmi: „Pomoc dla samopomocy”. Chodzi o to, że finansuje się różne przedsięwzięcia nie tylko dla odzyskania kredytu, ale po to, żeby pobudzać rolników do działań, w których muszą sobie pomóc sami. Wychodzi się z założenia, iż dawanie za darmo demoralizuje.

Rola banku w myśl tej formuły nie sprowadza się tylko do kreacji kredytów, ale polega także na aktywnym włączeniu się w przetwórstwo rolne. Raiffeisen jest, dla przykładu, udziałowcem firm zaopatrujących rolnika we wszystko, co jest mu potrzebne do pracy i życia. Oglądaliśmy magazyn jednej z takich firm zaopatrzeniowych i mogliśmy się naocznie przekonać, jaka jest siła rynku. Od olbrzymich zasobów paszy dla gołębi, ptactwa i zwierząt domowych, przez napoje chłodzące, środki higieny, kabiny do pryszniców, huśtawki dla dzieci, na magnetowidach i komputerach skończywszy. Doprawdy imponujące!

— Jaka jest aktualna pozycja Banku Raiffeisena w austriackim systemie finansowym?

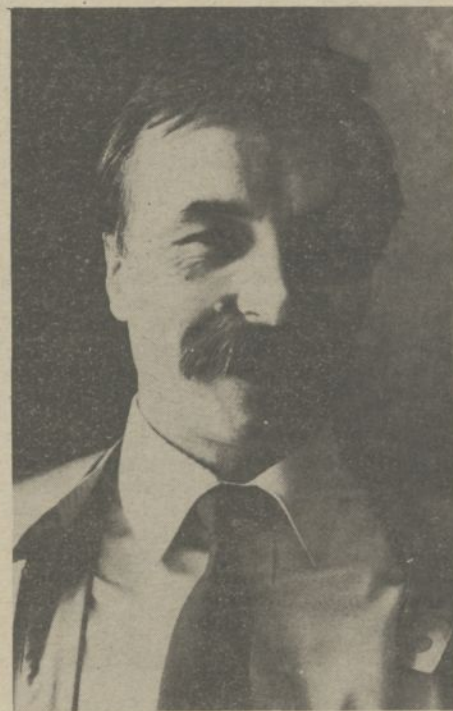
— Bez wątpienia jest jednym z najsilniejszych banków w Austrii. Przejżdżając przez jakąkolwiek miejscowość, nawet małą wieś, wszędzie można dostrzec znak firmowy Raiffeisena, zwykle oznaczający siedzibę jego oddziału. Często zaledwie jedno-, dwuosobowe. Ale nawet te wiejskie przedstawicielstwa są doskonale wyposażone, w pełni skomputeryzowane, w całości podporządkowane szybkiej obsłudze klienta. Mieliśmy możność bliższego zapoznania się z pracą jednego z oddziałów banku w miejscowości Mondsee koło Salzburga, liczącej sobie zaledwie cztery tysiące mieszkańców. Klient przebywał tam nader krótko, nie palętał się od okienka do okienka. Od drzwi towarzyszył mu specjalny doradca, pomagający mu wszystko załatwić, bez odsyłania z dnia na dzień.

W ogóle praca banków polskich i to, co widzieliśmy w Austrii, są to rzeczy nieporównywalne, włączając do tego oczywiście nasze banki PKO S.A. W jednym z przedstawicielstw Raiffeisena w Linzu oglądaliśmy na piętrze należąca do banku galerię, na parterze bankowe biuro podróży, oferujące wycieczki od Ameryki Południowej po Daleki Wschód, dostępne dla przeciętnego farmera. No i wyposażenie techniczne! Najnowszy system komputerowy „ELBA”, służący bezpośredniemu połączeniu klientów banku, sprawia, że w ogóle nie muszą oni tam zaglądać. Bardzo wysoka kultura obsługi, zachęcająca do korzystania z usług firmy. Nie wiem, być może część tajemnicy tkwi w sposobie doboru kadr.

— A właśnie, jak to wygląda?

— W zasadzie Raiffeisen w ogóle nie musi korzystać z kadr kształconych poza bankiem, posiada własny, doskonały system permanentnego szkolenia pracowników. Rekrutują się oni z ab-

solwentów szkół ogólnokształcących i ekonomicznych, przy uwzględnieniu określonych kryteriów: tzw. dobrej rodziny, stabilizacji, skłonności do pracy, predyspozycji psychofizycznych itd. Nie



Fot. Waldemar Stępień

ZARAZIĆ BAKCYLEM BIZNESU

Rozmowa z dr. Andrzejem Lulkiem o wizycie w Banku Raiffeisena

potrzeba do tego jakichś specjalnych środków, wywiadów, ankiet itp., bo — jak nam powiedziano — „przecież dyrektor lokalnego oddziału zna wszystkich ludzi na swoim terenie”.

Po przyjęciu kandydata do pracy i krótkim okresie stażowym wchodzi on w proces szkolenia w trzech stadiach, których absolutnie nie może uniknąć. W pierwszym etapie, dwutygodniowym, w niemal koszarowym trybie, prowadzone są intensywne zajęcia wprowadzające w podstawowe arkana funkcjonowania banku, obiegu dokumentów, sposobu dokonywania operacji finanso-

wych. W tym celu wykorzystuje się specjalny oddział szkoleniowy banku w Linzu. Jest on dokładną kopią normalnego banku, zresztą działającego równoległe na parterze tego samego budynku, wyposażoną w repliki wszystkich dokumentów, stanowiska kasowe, komputery itp. Po prostu szkolenie symulacyjne, bez klientów, za to z całym rygiorem. Potem, w odstępach czasowych przechodzi się przez dwa wyższe etapy wtajemniczenia. Jeżeli natomiast ktoś chce awansować, musi odbyć dwa kolejne cykle szkolenia w Akademii Raiffeisena w Wiedniu, gdzie wykładcami są najlepsi specjaliści banku.

Wizytowaliśmy wszystkie osiem pięter centrali Raiffeisena i co zwraca tam uwagę, to charakterystyczny, przestrzenny układ pomieszczeń. Każde piętro jest jednym wielkim biurem, nie przedzielonym ścianami, bez drzwi i gabinetów kierowników. Pracownicy — młodzież dwudziestokilkuletnia — niezwykle zdyscyplinowani. Nikt na nasz widok nawet nie podniósł głowy, nie było żadnych rozmów telefonicznych żadnych rozmów między pracownikami, poza konsultowaniem dokumentów. Pracuje się w ruchomym czasie, można przyjść do banku wcześniej i wyjść

później lub odwrotnie. Przysługuje 30 minut przerwy na lunch i 15—20 minut na własne potrzeby. Tych przerw się nie rejestruje, a mimo to nie są nadużywane. Nie ma ścian, szef widzi wszystko.

— Zarobki?

— Nie tak znów wysokie. Po kilku latach pracy porównywalne do pensji, na przykład, kobiet w zakładach przetwórstwa warzywnego pracujących przy taśmie. Pracownicy fizyczne zarabiają 10—15 tys. szylingów, kierownik biura dyrektora generalnego — 18 tysięcy.

— Mielicie także możliwość obejmowania zakładów powiązanych z bankiem przedsiębiorstw spożywczych. Czy to się da porównać do naszych przetwórci, czy też jest równie nieprzystawalne?

— Nie, przeciwnie, tu nie zauważyłem tak drastycznych różnic. Sądzę, że technologicznie aż tak bardzo nie odstawiamy, być może poza organizacją pracy, bardzo sprawnym systemem transportu i dystrybucji. W zakładach przetwórstwa warzywnego „EFKO”, co w rodzaju naszego Milejowa, oglądaliśmy na przykład linię do produkcji ogórków konserwowych, całkowicie zautomatyzowaną, gdzie kręcili się tylko ustawiacze, pakowacze i obsługa widłaków do transportu. Olbrzymie magazyny, bardzo wygodne rampy, cały załadunek i rozładunek odbywa się pod dachem. Akurat w czasie naszej bytności przyjechał transport warzyw

cięż na pozór są to sprawy proste do rozwiązania...

— Pozostawmy jeszcze na chwilę na austriackiej wsi, sądzę, typowej dla rolnictwa EWG. Jak zorganizowane jest takie gospodarstwo, jak wygląda farma, której przecież Austriacy zawdzięczają poważną część własnych sukcesów ekonomicznych?

— Farma, którą widziałem, była akurat nietypowa, jak na austriackie warunki, gdzie przeciętne gospodarstwo liczy około 15 hektarów. Ta miała ponad 80 ha. Stara farma, sprzed 100 lat, w doskonałym stanie. Olbrzymi dom z wewnętrznym dziedzińcem, o powierzchni około 1000 metrów kwadratowych, z czego mniej niż połowa jednego skrzydła stanowiła część mieszkalną. Wysokość — do trzech pięter naszego budownictwa. Górne części wykorzystane na paszarnie, reszta na suszarnię ziarna z silnikami olejowymi (z własnego oleju), tłocznice oleju, garaże ciągników i maszyn.

Gospodarstwo to jest przykładem tendencji poszukiwania produkcji alternatywnej wobec występującej nadprodukcji w rolnictwie austriackim. W ubiegłym roku, uznanym za zły, nadwyżka austriackiej pszenicy wyniosła przeszło milion ton. To mówi wszystko! A zatem, by nie obniżyć poziomu dochodowości, szuka się upraw i form działalności nietypowych dla tamtego rolnictwa, pozwalających lokować produkcję w „dziurach rynkowych”.

z Holandii, błyskawicznie rozładowany. A zamówiono go dwa dni wcześniej! Oczywiście telefonicznie.

W raiffeisenowskiej mleczarni, produkującej mleko, masło i śmietanę, technologia wytwarzania również była bardzo zbliżona do polskiej, ale za to z całkowicie zamkniętym obiegiem wody, z pełnym jej odzyskiem i własną oczyszczalnią. Co ciekawe, powraca się w Austrii do butelkowania mleka, kapslowania kapslami wielokrotnego użytku (ochrona środowiska). Butelki są etykietowane, co ułatwia działalność marketingową.

— Skoro nie ma aż tak wielkich różnic, to może zatem właśnie w tej branży możemy szukać naszej polskiej szansy rozwojowej?

— Tak by się wydawało, gdyby nie olbrzymie różnice w sferze otaczającej samą produkcję. W takich kwestiach jak współdziałanie banku i przedsiębiorstwa, banku i klienta, kontaktów rolnika z przedsiębiorstwem. To wszystko u nas jest niezwykle prymitywne, a już sposób traktowania rolnika pozostawia, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia. Tam traktuje się farmera jako producenta, któremu absolutnie nie można zabierać czasu na sprawy z produkcją nie związane. Jest po prostu najważniejszy. Proszę, przykład: w zakładach mięsnych, które widziałem, rolnik mógł ze specjalnej galerii oglądać proces uboju i przetwarzania. Po to, żeby wiedział, co się dzieje z jego bydlęciem czy swinia, zresztą odbieranymi od niego na farmie transportem producenta. Wyceny bydlęta i trzody chlewnej dokonuje nie rolnik, nie producent, ale przedstawiciele związku hodowców. To samo dotyczy mleka. Ile problemów jest z tym w Polsce, nie muszę dodawać. A prze-

„Nasz” farmer podjął uprawę rzepaku i wytwarzanie oleju, bardzo preferowanego dla uniknięcia kryzysu naftowego, oprócz produkcji zboża. Jedyne zwierzęta, jakie widziałem na farmie, to pies, osiem kotów i dziesięć koni. Wierchowców. Trzymany tam przez zamożnych mieszkańców Linzu, którzy przyjeżdżają na weekendy z rodzinami i oddają się jeździe konnej. Właściciel wybudował dla nich kryty manez i pobiera opłaty za korzystanie z niego, z jego terenu i za utrzymanie wierchowców. Ma za to do dyspozycji pięć Fergusonów różnej mocy i zastosoowania, z których jeden liczy dwadzieścia lat i cieszy się specjalnym sentymentem właściciela. O komplecie maszyn nie ma co wspominać.

— Istotnie, oszczędzimy stresów naszym rolnikom. Lecz przecież ten dobrobyt nie powstał za sprawą czarodziejskiej różdżki, choć uważam, że być może te różnice jeszcze pół wieku temu nie były tak kolosalne. Oświadczając ten cudowny wzorzec, spróbujmy się może zastanowić, czy można coś w nim podpatrzeć, coś skoplować.

— Trzeba by najpierw wyjść od koncepcji urynkowania rolnictwa, tylko że nie tak rozumianego jak to, co się u nas odbywa. Bo to jest urynkowanie produktu, a chodzi o otoczenie rolnictwa, o jego obudowę finansową i całą sferę produkcji dla potrzeb rolnictwa. Szczególnie ważna jest ta część rynku, gdzie następuje odbiór produktów. W otoczeniu nowych instytucji, w sytuacji, kiedy rolnik nie

tyka się z monopolistami, może on produkować więcej i specjalnie nie martwić się o parytet dochodów.

— A konkretnie?

— Konkretnie chodzi o uruchomienie bezpośrednich kontaktów, dzięki którym z jednej strony mielibyśmy dostęp do technologii, a z drugiej możliwość wyeksportowania naszych nadwyżek. Przywołam tylko jeden z przykładów. W jednej z mleczarni pokazywano nam linię technologiczną do produkcji masła. Unieruchomiona ze względu na nadprodukcję. Tam, w Austrii, nie sposób tego sprzedać, to jest czysta strata dla firmy. Ale gdybyśmy my tę linię zakupili, nawet za część ceny, w zamian za produkty spożywcze, kalkulacja się radykalnie zmienia. Tam istnieją „niższe” na rynku rolnym. W „EFKO” chociażby, część przerabianej fasoli importowana jest z Ameryki Południowej. A przecież my mamy nadwyżki. To samo dotyczy ziół. Pewny zbyt! Gdyby przeanalizować rynek, można by znaleźć sporo towarów, za które moglibyśmy uzyskać maszyny, urządzenia i technologie, szczególnie przydatne do zastosowania w małych zakładach. W konsekwencji trzeba ściągnąć część przetwórstwa rolno-spożywczego z miast do wsi, bliżej producentów. I tym się trzeba zająć, bo mówienie o tym, czego brak rolnikowi, i paplanina o braku mocy przerobowych to jednak trochę za mało. To są proste sprawy, bo w czasie rozmów z dyrektorami Raiffeisena pytaliśmy, z kim rozmawiać na temat ewentualnych wspólnych interesów i oni odpowiadali: „Z nami!”

— Dobrze, ale o czym można by z nimi rozmawiać?

— Przede wszystkim uważam, że warto byłoby poszukać środków dla sfinansowania ważnej a prostej rzeczy — by zawięzić grupę młodych rolników do Austrii i pokazać: jak? Jak wygląda austriacka wieś, tak nieprzystawalna do naszej. Rolnikowi nie wystarczy powiedzieć czy opisać — musi zobaczyć, dotknąć, przejechać się. Ich trzeba zarazić bakcylem rolniczego biznesu. A tych, którzy byłiby zainteresowani spółkami czy spółdzielniami na wsi, pokazać, jak funkcjonuje „styk” między rolnictwem, przetwórstwem i bankowością. I jeśli pojęcie spółdzielczości nie zostało jeszcze doszczętnie skompromitowane, to z naszych spółdzielni należy zrobić organizacje ściśle odpowiadające tej nazwie. My, tu w Polsce, nawet sobie nie uświadamiamy roli, jaką spółdzielczość odgrywa w krajach kapitalistycznych. Spółdzielczość, kooperacja i zwykła współpraca między farmerami. Choćby ta dotycząca wymiany usług rolniczych. Nowy ciągnik Ferguson stanowi równowartość 70 ton pszenicy, a więc jest dość kosztowny. A zatem farmerzy wypożyczają sobie nawzajem posiadane maszyny. „Każdy z nas ma krótkofalówkę i samochód — powiedział mi jeden z nich — więc jaki to problem porozumieć się co do wymiany wzajemnych świadczeń”. Pięknie, ale u nas występuje niewielki drobiazg: możliwość komunikowania się. Telefon u setki na jedno, jednak trochę za mało. Poza tym obawiam się, że znacznie trudniejsze niż wyposażenie rolników w krótkofalówki, byłoby przekonanie ich o potrzebie takiej współpracy.

— To znaczy, że spółdzielczość jest optymalną formą gospodarczą dla rolnictwa?

— Przy niekorzystnej strukturze obszarowej może nią być, o ile jest prawdziwą spółdzielczością. Tym, co stanowi o sile tamtejszego rolnictwa, jest nie tylko jego techniczne wyposażenie, ale istnienie pewnych struktur pozwalających rolnikom współdziałać. Tam nad spółdzielczością nie wytworzyła się biurokratyczna narośl i dlatego spółdzielczość rolnicza może swobodnie działać, nie będąc obciążona kosztami.

— Miejmy nadzieję, że i u nas stanie się podobnie. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

Leszek Wiśniewski

LISTY - POLEMIKI

„Niczyje dusze z pogranicza”

[...] Mój list dotyczy opublikowanego w ostatnim majowym numerze „Relacji” (19) listu p. Jana Skobla z Lublina, będącego polemiką z artykułem M. Haponiuka „Niczyje dusze z pogranicza” („Relacje” nr 13).

Moim zamierzeniem nie jest polemika z p. J. Skoblem gdyż z czymś takim, jak ten list, polemizować nie można — są tam raczej wyznanie wiary, ideologia, a nie oparte na rzeczywistości twierdzenia. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na pewne schematy myślenia, których wspaniałe przykłady znalazły się tutaj.

Pierwsze wrażenie po przeczytaniu tego listu to pewność, że jego autor niewiele z artykułu, z którym polemizuje, zrozumiał. Artykuł M. Haponiuka „Niczyje dusze z pogranicza” miał, zgodnie z zamierzeniem autora, przedstawić pewną istniejącą rzeczywistość (i uważam, że udało się to), zaś J. Skobel potraktował ten artykuł jako atak na (swoiście rozumianą) polską rację stanu.

Cóż właściwie jest przyczyną oburzenia autora listu? Sam przyznaje: „Jestem wprost zaskoczony przytoczonymi faktami”. Nie do przyjęcia jest dla niego po prostu rzeczywistość, same fakty opisane w artykule. J. Skobel pisze: „Jak to możliwe — zadają sobie pytanie?” (W tym momencie można p. Skobelowi odpowiedzieć: Skoro tak jest, to znaczy, że jest to możliwe!)

J. Skobel kieruje swoje pretensje pod niewłaściwym adresem. Wy-mownie brzmi zdanie: „Przez 45 lat wiele na ten temat nie mówiono, a

tu raptem Pan Redaktor znalazł ludzi niczyich”. To, że „na ten temat” przez tyle lat nie pisano, świadczy źle nie tyle o samym temacie, czy ludziach, których dotyczy, a tym bardziej o M. H., który ten temat w końcu podjął, co o tych, którzy tych tematów unikali, czy też nakazywali unikać. (Przez ostatnie 45 lat o wielu rzeczach nie pisano, nie tylko o tym...)

Źną pozostałością ostatnich 45 lat w świadomości p. Skobla jest zapominanie, że to poglądy trzeba budować w oparciu o istniejącą rzeczywistość, a nie na odwrót. Autor listu przyzwyczaił się widocznie, że to rzeczywistość trzeba modelować, dostosowywać (czy też poprawiać), aby odpowiadała wyznawanym poglądom. (Czyli zasada: jeżeli przyjąłem jakieś twierdzenie i nie jest ono zgodne z rzeczywistością, to „poprawiam” rzeczywistość, a nie założenie).

A więc zgodnie z tym wszystkim p. Skobel, nauczony w ciągu tych 45 lat, że w PRL nie ma mniejszości narodowych, w momencie, gdy dowiaduje się, że takie jednak są, za jedyną możliwe wyjście uważa albo wysiedlenie ich poza granice jego własnej i od wieków tolerancyjnej Ojczyzny, albo (jeżeli dobrze zrozumiałem aluzje p. Skobla) uznanie się przez nich za „Polaków z dziada, pradziada” Cytuję: „Albo kraj, w którym żyją, albo należałoby się przenieść nieco na wschód”.

Tu wypada zadać pytanie: dlaczego ludzie o których losie tak beztroško pisze p. Skobel, mają opuszczać ziemię swych przodków, ziemię, na której mieszkają od ponad 1000 lat, na której przez te kilkanaście stuleci rozwijali swą kulturę? Jakim prawem mają być stał wygnani?

Nie jest właściwym porównywaniem wschodniostowiańskiej ludności Północnego Podlasia do Polaków z tzw. Kresów Wschodnich. Ci ostatni przybyli na ziemię zamieszkaną już przez kogoś innego, mieszkańcy Podlasia są zaś autochtonami. Polaków z polskich Kresów Wschodnich właściwiej byłoby porównywać z Niemcami z niemieckich Kresów Wschodnich, tzn. z polskich ziem zachodnich, których przodkowie skolonizowali polskie ziemie

etniczne. Jednych i drugich niemal w całości wysiedlono po II wojnie światowej. To prawda, nie było to działaniem zbyt humanitarnym. Tu zgadzam się z p. Skoblem. Albowiem żadne wysiedlenie, także to, którego celem jest wyimaginowana sprawiedliwość dziejowa, nie jest rozwiązaniem. (Skłoda tylko, że p. J. Skobel patrzy na to przez pryzmat etyki Kalego).

Poza wysiedleniem p. Skobel widzi jeszcze jedno wyjście dla ludności, której dotyczy artykuł M. Haponiuka — polonizację, uznanie, że są Polakami. Ludność ta nie nabyła swej obecnej kultury przez wyzwanie się polskości, jest to ludność etnicznie wschodniostowiańska, a więc „propozycja” p. Skobla jest apelowaniem o... wynarodowienie się! Pan Skobel deklaruje się jako Polak, w historii Polski stałym motywem jest walka z wynarodowianiem [...], a więc znów etyka Kalego.

J. Skobel występuje niemal jak ambasador polskiej racji stanu: „Na pewno nie pozwolimy sobie, aby nam obcinano ziemię na wchodzić lub tworzone dla tych ludzi jakąś specjalną republikę”. Myślę, że nie to, czego tak boi się ten obrońca polskości na Kresach z Lublina, jest w tym wszystkim najistotniejsze. Ważne są nie tylko granice, ale prawo ludzi do posiadania i rozwijania swej kultury, zachowywania kultury przodków. Każdy powinien mieć warunki do swobodnego szukania tożsamości, do bycia sobą bez obawy o konsekwencje, bez konieczności wyboru między sumieniem, prawdą, a wygodą, spokojem. Jak śmiesznie brzmi ten list w świetle rozważań o zjednoczonej Europie bez granic [...].

Grzegorz Matacz
Lublin

PS. Przy lekturze listu nasuwa się jeszcze jedna refleksja dotycząca samej osoby autora. Wspomina on, że jego dziadka nawracano siłą na prawosławie. Na prawosławie „nawracano” unitów, unicy zaś, jak wiadomo, w swej zasadniczej masie byli potomkami prawosławnych, których, często również siłą, w XVII i XVIII w. „nawracano” na katolicyzm. [...]

G. M.

NĘDZA LITERATÓW

Dokończenie ze str. 4—5

prezesów oddziałów z goryczą przypominało, że oni pełnią swoje funkcje społecznie, ich zadaniem jest pisać, a nie zamieniać się w menedżerów! Padł projekt, aby dwa domy wczasowe podległe ZLP — w Zakopanem i w Oborach — przeznaczyć na hotele, głównie dla zagranicznych. Ale i ta propozycja nie doczekała się konkretnych ustaleń.

W sumie, poza cięciami w biurokracji i podwyższeniem składek, nie ustalono nic, co by pozwoliło raz i na zawsze w przyszłość najbliższych trzech miesięcy. Znany krytyk Piotr Kuncewicz skłócił w tym wszystkim tubalnym szepcłem, z właściwym mu poczuciem osobliwego humoru: „Nas może uratować tylko sieć bundeli, gorzelnia i browarów!” Niestety, ta perspektywa również nie znalazła zwolenników. W tych profesjach także potrzebni są zawodowcy, menedżerowie, podczas gdy literaci...

Próbował ratować nastroje kolega Karol Czejałek, członek ZLP i jednocześnie dyrektor departamentu książki w MKiS. Przed godziną zebrał cięgi za samowolne działanie ministerstwa w sprawie owych nieszczęśliwych 30 procent stawki, lecz nie zrażony tym poinformował, że jego resort zamierza „wrzucić” rządowi premiera Małowieckiego trzy główne tematy ze sfery kultury: nowy projekt prawa wydawniczego, projekt systemu ochrony kultury oraz propozycje w sprawie papieru i przemysłu papirniczego. Generalnie stwierdził, że niezależnie od działań oszczędnościowych czy gospodarczych związku, a także ogólnego kryzysu gospodarczego w kraju, rząd nie może czuć się zwolniony z obowiązków wobec potrzeb kultury polskiej.

Zabrzmiało to ładnie, pryncypialnie, lecz każdy ze słuchaczy rozumiał, czuł, że mówi to raczej kolega, a nie dyrektor departamentu.

O troskach materialnych przyszła kolej na subtelności polityczne i układy między dwoma związkami twórczymi. Wspomniany Piotr Kuncewicz stwierdził, że do zmagania ZLP o kondycję zawodu pisarza, o stan książki i całej kultury polskiej trzeba włączyć kolegów ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Działania w pojedynkę rozpraszają siły, osłabiają środowisko.

Owszem, uznano, że wskazane takie połączenie sił, tylko niżej nie wiedział, jak się do tego zabrać. Nie ma żadnej współpracy między obydwioma związkami. Kto ma pierwszy wyciągnąć dłoń do zgody, a choćby dłoń z długopisem do podpisania tego czy innego memoriału do władz? Obaj przesi obydwiu związków — już sama „Kadencja” Józefa Szczepańskiego jest tego dobitnym dowodem — są pierwszymi i najważniejszymi „hamulcowymi” na drodze ku zgodzie i współpracy.

Tu, w sali plenarnej ZG ZLP, członkowie prezydium niemal z oburzeniem przyjęli wiadomość, że grupka literatów z oddziału warszawskiego zbiera podpisy pod listą członków ZLP, domagających się zwolnienia nadzwyczajnego zjazdu ZLP. Wiadomo bowiem, że na takim zjeździe niechybnie stanie sprawa połączenia obydwu stowarzyszeń, agody, powrotu do sytuacji sprzed rozwiązania dawnego ZLP. Listy z propozycjami podpisów pod żądaniem zwolnienia zjazdu ostatnio docierają do oddziałów terenowych. Jeżeli za zwolnieniem zjazdu opowie się większość członków, zjazd odbyć się musi, choćby dla zgody z modą na nadzwyczajne zjazdy i tym podobne prania związkowych i partyjnych sumień...

A co o tym sądzi np. prezes oddziału lubelskiego ZLP, czyli piszący te słowa? Jego credo jest od dawna znane środowisku literackiemu w kraju i regionie: anulować zaszłości stanu wojennego, zwołać zjazd dawnych członków ZLP oraz nowych członków obydwu organizacji, przywrócić dawny ZLP sprzed salwy plutonu egzekucyjnego, dowodzonego przez prezydenta miasta stołecznego Warszawy i... Kochajmy się!

Na ostatnim zjeździe ZLP oznajmiłem gromkim głosem, że apodyktycznie i uzurpatorsko nazwalibyśmy się dwudziestym czwartym zjazdem ZLP, a więc tak jakby istniała ciągłość w życiu organizacji pisarskiej. Zapadła wtedy ponura cisza. Zaskarbiłem sobie dość powszechną niechęć liderów związku, trwającą po dziś dzień. Upominałem się też, w imieniu delegacji lubelskiej, o ponowne rozpatrzenie sprawy kolegi Zdzisława Najdera, członka ZLP, skazanego w stanie wojennym na karę śmierci. Za co, konkretnie? — pytałem z trybuny zjazdu.

Zjazd przyjął wniosek, przedstawiono go władzom, potem Ministerstwo Sprawiedliwości skierowało do ponownego rozpatrzenia sprawę kol. Najdera, na razie dopatrując się jakichś tam uchybień proceduralnych. Znamienne, że po zjeździe przemilczała ten wniosek prasa centralna i telewizja, a także Wołna Europa, której szefem przecież był, jeszcze tak niedawno, nie kto inny, tylko Zdzisław Najder! Dlaczego przemilczała? Bo wniosek wyszedł z najwyższego forum reżymowego ZLP! Po wielu tygodniach upomniał się o Najdera reaktywowany Pen-Club. Wtedy cwiszem, Wołna Europa natychmiast o tym poinformowała swoich słuchaczy.

Więc moim skromnym i niechętnie słuchanym zdaniem, każdy, kto sprzeciwia się, z jakichkolwiek powodów, idei odtworzenia dawnego ZLP — ten działa na szkodę obydwu istniejących obecnie organizacji pisarskich, na szkodę pisarzy i literatury polskiej.

Henryk Pajak

IDEE POLSKIE

Tekstem o agraryzmie, pióra dr Anny Golec, rozpoczynamy cykl publikacji poświęconych ideom ważnym w dziejach narodu i państwa polskiego. Będziemy omawiać te idee co jakiś czas, by w czasie wyborów programów, racji i postaw — dostarczać naszym Czytelnikom materiału do przemyśleń, do wyborów osobistych.

SKORO poddajemy dziś osądowi stalinizm i jego polskie odmiany, to należałoby się także zastanowić, jakie szkody poczynił w ruchu ludowym. A są one znaczne. I wiele z nich nie do odrobienia. Są to m.in. skutki wypełniania nakazów Stalina, które brzmiały: „tępić agrarystów”, „agraryści — to wrogowie ludu” itp.

Coraz wyraźniej widać, dlaczego na przełomie lat 40. i 50. odrzucano agraryzm, a obecnie wracamy do tego programu. W tym kierunku zmierza nurt odrodzeniowy współczesnego ruchu ludowego, który nawiązuje do bogatych tradycji niezależnego ruchu ludowego w Polsce.

AGRARYZM jako chłopska wizja ładu społecznego rósł od początku istnienia ruchu ludowego, znacznie się umocnił w latach 20. i wyraźnego charakteru nabawił w latach 30., po zjednoczeniu się ruchu ludowego. Dużą w tym zasługą niezależnego ruchu młodzieży wiejskiej skupionej w ZMW RP „Wici” i pracy wydanej w 1934 r. pod redakcją Stanisława Miłkowskiego „Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego”.

Główny nurt ruchu ludowego w okresie międzywojennym rozwijał się w duchu agraryzmu. Poza nim pozostawały drobne odłamy ruchu chłopskiego, nie mające większego wpływu na wsi (choć ich rolę wyolbrzymiano w naszej historiografii, szczególnie w czasach stalinowskich), jak Niezależna Partia Chłopska, Zjednoczenie Lewicy Chłopskiej „Samopomoc” czy po II wojnie światowej Stronnictwo Ludowe „Wola Ludu”. Były to nieliczne grupy, ściśle podporządkowane komunistom. Ich idee były z gruntu obce większości chłopów w Polsce.

Agraryści opracowali program przebudowy stosunków społecznych w duchu demokracji. W zasadzie odrzucali rewolucyjną metodę rozwiązywania konfliktów społecznych. Nad nią przedkładali dialog, dyskusję parlamentarną, a przede wszystkim wychowanie człowieka o wysokich wartościach moralnych. Światopoglądowo agraryzm wspierał się na chrześcijaństwie. Zgodnie z zasadami etyki chrześcijańskiej kształtowano osobowość człowieka, wolną od fałszu i zakłamania, otwartą na drugiego człowieka, braterską. Agraryści to ludzie ideowi i odważni. Cechował ich globalny punkt widzenia. Sprawy wsi i rolnictwa rozpatrywali jako część całego kompleksu zagadnień społecznych. Ogarniali całokształt spraw narodu.

Agraryzm to chłopska, nie narzucona od góry, ideologia i program sprawiedliwego ładu społecznego, opartego na demokracji i samorządności. Był to owoc własnych przemyśleń chłopów polskich i umiejętne wykorzystanie doświadczeń ruchu politycznego i gospodarczego chłopów w innych krajach.

Sposób, w jaki został sformułowany program społeczny agrarystów, zdecydował o jego sile przetrwania. Wyrastał on z dołu, jako produkt zbiorowej mądrości chłopów polskich, z połączenia myśli chłopów — praktyków i teoretyków, zwłaszcza inteligencji ludowej, z połączenia entuzjazmu młodych wiciarzy i doświadczenia starszych ludowców z SL.

Agraryzm uwzględniał twarde realia społeczno-ekonomiczne z jednej strony, a z drugiej bazował na badaniach naukowych ekonomistów rolnych, jak Ernest Laur, Wł. Grabski i inni.

Specyfika polskiego agraryzmu i zarazem jego doniosłość wynika z połączenia dwóch głównych jego nurtów — myśli społecznej agrarystów ośrodka krakowskiego i myśli kształtowanej przez uniwersytety ludowe, nurtu związanego z nazwiskami Ignacego i Zofii Solarzów, Józefa Niecki i innych.

Pierwsi eksponowali problematykę gospodarczą i polityczną, zaś drudzy zagadnienie wychowania obywatelskiego i kultury, co miało decydować o nowej jakości człowieka. Nie tylko głoszono idee, ale konkretnie wy-

chowywano (na kursach w Uniwersytetach Ludowych) ludzi ideowych, myślących samodzielnie. Ludzi wolnych, ale nie egoistycznych, aktywnych społecznie, umiających żyć „w ludzkiej gromadzie”. Z tych szeregów wywodzili się ludzie wielkiego formatu, społecznicy, gorący, szczyrzy patrioci.

Połączenie tych dwóch nurtów sprawiło, że agraryzm objął **zarówno sferę życia materialnego jak i duchowego, kulturowego**. Dzięki temu umiejętnie rozwiązał problem: jednostka a społeczeństwo. Dostrzegał jednostkę w społeczeństwie, wszak stawił na człowieka, nie gubił go w masach.

AGRARYZM - LUDOWA KONCEPCJA ŁADU SPOŁECZNEGO

Anna Golec

PROGRAM agrarystyczny uwzględniał bogactwo natury ludzkiej. Dlatego w gospodarce proponował częściowo wolną produkcję, częściowo uspołecznioną, a częściowo upaństwowioną, czyli, jak byśmy dziś powiedzieli, wielosektorową.

Agraryści doskonale rozumieli, że rozwój gospodarczy kraju wymaga zachowania określonych proporcji między przemysłem, a rolnictwem. To, że stawiano na kierunek rolniczo-przemysłowy, było wynikiem uwzględniania polskich realiów ekonomicznych, widzenia polskiej szansy szybkiego rozwoju gospodarczego, zaspokojenia potrzeb ludzkich, konkretnych, nie pojmowanych abstrakcyjnie, deklaratywnie. Stąd naciskał na produkcję rolną, przetwórstwo, oparcie przemysłu na surowcach krajowych.

W myśl koncepcji agrarystycznej, podstawą ustroju rolnego miało być chłopskie gospodarstwo rodzinne, którego granicę obszarowych ściśle nie określano. Liczono się ze zróżnicowaniem, będącym wynikiem różnej urodzajności, kierunku produkcji, położenia itp. Dla agrarystów **gospodarstwo rodzinne, rodzina to podstawa efektywnej gospodarki rolnej, a zarazem ostoją zdrowia moralnego narodu**. Kolektywizację rolnictwa kojarzyli ze spadkiem efektywności ekonomicznej i równocześnie upadkiem moralnym. Na te oceny wpływały wyniki obserwacji stalinowskiej polityki rolnej w Związku Radzieckim.

Silny ekonomicznie chłop to zarazem chłop mający siłę polityczną, której nie ma chłop „skolektywizowany” ani właściciel karłowatego gospodarstwa.

Techniczne, organizacyjne i ekonomiczne braki gospodarstw indywidualnych miała wyrównać szeroko rozwinięta spółdzielczość. Tę formę własności przewidywano zwłaszcza w obrocie rolnym, mechanizacji rolnictwa itp. Nie wykluczano także spółdzielczych form uprawy pod warunkiem dobrowolnego wyboru tej formy gospodarowania i przy uzyskaniu dobrych wyników ekonomicznych. Spółdzielnie miały do odegrania szczególną rolę w rozwoju przemysłu przetwarzającego płody rolne.

Agraryści rozumieli **uspołecznienie wyłącznie jako przejęcie na własność przez zorganizowane grupy społeczne — spółdzielnie i samorząd gospodarczy**. Wyraźnie wyodrębniali własność państwową, widząc tę formę własności jedynie w dziedzinach przemysłu o kluczowym znaczeniu dla całej gospodarki narodowej (przemysł wydobyw-

czy, zbrojeniowy, komunikacja, lasy itp.). Zorganizowanie przemysłu na zasadach uspołecznienia miało służyć dekoncentracji przemysłu, co z kolei miało zapobiec oderwaniu człowieka od przyrody. Już w programie polskich agrarystów należy szukać początków prawidłowego stawiania problemów ekologicznych, w tym szczególnie ochrony najważniejszej części przyrody, jaką jest człowiek.

Według koncepcji agrarystów, polityka gospodarcza państwa miała wspierać proces uspołecznienia. Uspołeczniony lub upaństwowiony miał być aparat kredytowy. Handel, zwłaszcza w dziedzinie hurtu — uspołeczniony. Ogólnie kierunki rozwoju gospodarczego winien wytyczać plan, który jednak nie wykluczał rynku. **Rynek miał do odegrania dużą rolę. Wynikało to z różnorodności form własności**. Opracowanie ogólnego planu gospodarczego i kierowanie jego wykonaniem powierzono Naczelnej Izbie Gospodarczej. Miała to być jednostka koordynująca działalność poszczególnych działów samorządu gospodarczego.

Agrarystów rechowała wysoka tolerancyjność wobec odmiennych poglądów politycznych, ale żądali tego także i od drugiej strony. Zawarta w pracy „Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego” i w wielu innych wypowiedziach agrarystów, krytyka komunizmu czy socjalizmu była właściwie krytyką stalinizmu.

Co zatem agraryści zarzucali komunistom w stalinowskim wydaniu:

1) stawianie na doskonałość natury ludzkiej, co prowadziło do utopii (każdy człowiek z natury wydajniej pracuje dla siebie);

2) zburokratyzowanie życia we wszystkich jego przejawach, utratę podmiotowości przez jednostki;

3) ignorowanie praw ekonomicznych;

4) zabijanie w człowieku pobudek osobistego działania i inicjatywy prywatnej; przedsiębiorczości, a przez to „uniemożliwienie zużytkowania w pełni energii i zdolności twórczych, tkwiących w poszczególnych jednostkach i całych warstwach społecznych”.

Jeżeli to skonfrontujemy ze współczesną krytyką stalinizmu, to widzimy, że uwagi te były trafne. Stąd dziś:

- walka z biurokracją,
- budzenie przedsiębiorczości,
- powrót do gospodarki rodzinnej itp.

JAKIE były dalsze losy agraryzmu?

Agraryści w czasie okupacji stali się działaczami konspiracyjnego SL „Roch” i żołnierzami Batalionów Chłopskich. I w tych ciężkich czasach nie ustały prace nad kształtem ustroju przyszłej Polski. Wymianie poglądów służyły konspiracyjne spotkania i dyskusje, a także ludowa prasa podziemna. Podstawę stanowił program wypracowany w latach 30., otwarty na korekty, jakie niesło życie.

Treści nowej wersji agrarystycznego programu zawarto w Deklaracji Ideowo-programowej SL „Roch” w 1943 roku. Wykazano gotowość do współuczestniczenia i współodpowiedzialności za demokratyczną przebudowę ustroju. Wyraźnie podkreślano oparcie się na ideologii agrarystycznej. Uważano, że jedynie demokracja społeczna może dać równe szanse wszystkim warstwom społecznym i stworzyć taki porządek społeczny, by człowiek mógł wszystko zawdzięczać swojej pracy. **Za najsilniejszą podstawę demokracji społecznej agraryści uważali rodzinę i dobrowolne zrzeszenia społeczne**.

Program gospodarczy nie uległ zasadniczo zmianom. Kontynuację stanowił bardziej szczegółowo rozbudowany program Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL) pod wodzą Witosa, a potem Mikołajczyka.

Program PSL podkreślał potrzebę zachowania **niezależności** w ruchu ludowym co do założeń ideowo-programowych, a ściślej oparcia się na ideologii ludowej — agraryzmie.

Program gospodarczy eksponował potrzebę zachowania różnych form własności. Jak ostrzeżenie brzmiało sformułowanie agrarystów, że **nie można dopuścić do nadmiernego upaństwowienia, gdyż prowadzi to do biurokratyzacji życia gospodarczego i obniża efektywność ekonomiczną**. Ponadto tamuje drogi rozwoju inicjatywy prywatnej „tam, gdzie ona może być społecznie pożyteczna”. W programie PSL z 1946 roku czytamy m.in.: „Tereniem inicjatywy i własności prywatnej powinny być gospodarstwa rolne, przemysł drobny i średni nie wykraczający poza określone normy, rzemiosło oraz pewne kategorie handlu. Inicjatywa prywatna w wymienionych dziedzinach zasługuje na ochronę i poparcie ze strony państwa i samorządu gospodarczego”.

Na wyższe organy władzy państwowej miały stanowić:

1. Sejm i Naczelna Izba Gospodarcza jako władza ustawodawcza,
2. rząd i prezydent jako władza wykonawcza,
3. niezawisłe sądy.

Sejm miał być wybierany w głosowaniu powszechnym, równym, bezpośrednim i tajnym. Naczelną Izbę Gospodarczą miały wybierać organizacje samorządu terytorialnego i gospodarczego.

Demokracja ustroju miała polegać na tym, że władze państwowe zajmowałyby się tylko sprawami centralnymi, zaś sprawy lokalne byłyby przedmiotem troski samorządów. Taki system, poprzez szeroki udział ludności w samorządzie, miał zwiększać krąg ludzi zarządzających państwem.

Istotny, trwały czynnik przebudowy społecznej widziano w wychowaniu ludzi, a właściwie w samowychowaniu. Zjawisko to wiązano integralnie z działalnością społeczną, gospodarczą i polityczną. Postulowano i realizowano zarazem tworzenie różnych organizacji gospodarczych, społecznych, kulturalnych. Szeroki rozwój oświaty i kultury miał ułatwiać demokratyzację życia społecznego.

PSL miało **całofelowy** program demokratycznej przebudowy kraju. To sprawiło, że entuzjazm społeczny dla tej partii był wyjątkowy. Potwierdzają to źródła historyczne z lat 1945—1947.

Stalinowskie metody walki politycznej doprowadziły do upadku PSL. Ujawniane dziś prześladowania, aresztowania, a także morderstwa działaczy PSL i nie przebierające w środkach formy kompromitowania PSL, sprawiły, że rok 1947 kończy okres **samodzielności i niezależności** ruchu ludowego w Polsce.

Delakracja ideowo-programowa ZSL z 1949 roku w sformułowaniu odcięcia się od agraryzmu, określając go jako „ideologię chłopskiej burżuazji”, „ideologię wsteczną”. **Odejście od agraryzmu nie było sprawą wyboru.** Wobec metod stalinizmu nie było silnych. Ci, którzy pozostali wierni ideałom agraryzmu, musieli odejść z areny politycznej. Nadal byli prześladowani, choć może w mniej drastyczny sposób niż w latach 1946—1947.

ZSL, będące w pierwszych dziesięcioleciach pod wpływem przedstawicieli urzędów prokomunistycznych w ruchu ludowym odcięło się od prawdziwych przywódców ruchu ludowego (Witos, Mikołajczyk), a podkreślało swoją ciągłość z NPCh, ZSCh „Samopomoc” czy SL „Wola Ludu”.

Zapis w dokumentach ZSL nie mógł do końca zniszczyć zakorzenionego na polskiej wsi agraryzmu. Agraryzm pozostał jako idea. I to jest dzisiejsza szansa na odrodzenie się ruchu ludowego.

REFORMY społeczno-gospodarcze i polityczne zachodzące w krajach socjalistycznych zmierzają do demokratyzacji życia społecznego, gospodarczego i politycznego do zwiększenia roli samorządów, przywrócenia spółdzielczości jej spółdzielczego charakteru, prawdziwego priorytetu dla rolnictwa i gospodarki żywnościowej, zaakceptowania rzemiosła i drobnego przemysłu, uspołecznienia własności państwowej, pluralizmu politycznego itp.

Wszyscy, nie tylko ludowcy, powinni wiedzieć, że taki program demokratyzacji życia społecznego opracowali chłop polski już w latach trzydziestych, a rozwinęli i umocnili w latach wojny i okupacji w ramach programowych SL „Roch”. Szczególnego wyrazu nabrał w programie uchwalonym na Kongresie PSL w styczniu 1946 roku. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że po latach błędzenia, zapoczątkowanego przez stalinizm, zaczynamy dochodzić do tego, co proponowali agraryści ponad pięćdziesiąt lat temu.

Agraryzm zwyciężył w praktyce. Świadczy o tym dobitnie zachodzące w świecie przeobrażenia. W obliczu współczesnych przemian partia chłopska musi być silna i suwerenna. Dlatego ludowcy dziś wyraźnie nawijają do chlubnej tradycji niezależnego ruchu ludowego.

Sila PSL tkwiła w tym, że partia ta miała jasno sprecyzowaną chłopską ideologię i program. Istotne znaczenie miało ściśle powiązanie niezależnego chłopskiego ruchu politycznego z chłopskim ruchem gospodarczym (kółka rolnicze, spółdzielnie — jeszcze wówczas nie upaństwowione). Pozycja członków PSL w samorządzie gospodarczym dawała mu siłę.

Życie dowiodło, że **agraryzm to program społecznego ładu wyjątkowo trafny**, bo wypracowany drogą nieskrępowanej wymiany myśli, podyktowany prawdziwą troską o dobro kraju. Tu tkwi źródło jego trwałości i aktualności.

Dr Anna Golec jest adiunktem w Zakładzie Historii Gospodarczej i Myśli Ekonomicznej Instytutu Teorii Rozwoju Społeczno-Ekonomicznego UMCS.

Mikołajczyk miał stać się kozłem ofiarnym przelargów na linii: Moskwa - Londyn - Waszyngton

ZWROT PAŹDZIERNIKOWY 1944

Janusz Wrona

11 PAŹDZIERNIKA przybyła do Moskwy delegacja PKWN i KRN z Edwardem Osóbką-Morawskim i Bolesławem Bierutem na czele. W późnych godzinach wieczornych, 13 października 1944 r. odbyła ona konferencję z udziałem Churchilla i Stalina, podczas której przedstawiono warunki PKWN odnośnie porozumienia z rządem Stanisława Mikołajczyka w Londynie.

Pierwsze dwa zakładały odrzucenie konstytucji kwietniowej z 1935 r. jako podstawy ustrojowej państwa oraz realizację reformy rolnej. Jako trzeci warunek, jak wynika ze stenogramu rozmów, analizowanego na posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR 22 października 1944 r., postawił B. Bierut problem walk bratobójczych „rozpoczętych przez grupkę reakcyjną, która chce się zamęt w kraju. Domaga się od Mikołajczyka przeciwstawienia się tej akcji. Czwartry warunek to sprawa granic wschodnich Polski. Zgoda między sąsiadami Polski, szczególnie ze Związkiem Radzieckim, jak też interesy Polski wymagają uznania linii Curzona. Churchill oświadcza, że on wpłynie na Mikołajczyka i ma nadzieję, że uda mu się nakłonić go do przyjęcia tej granicy”.

Jako drugi zabrał głos Edward Osóbką-Morawski, który wygłosił przemówienie o osiągnięciach PKWN. Przemówienie to w swych pamiętnikach uznał Churchill za „przysłaniające”. Między przewodniczącym PKWN a premierem W. Brytanii doszło do ostrej kontrowersji. „Chodziło o ocenę powstania warszawskiego — pisze w swym Dzienniku E. Osóbką-Morawski — i rolę w nim generała Bora-Komorowskiego. Do dyskusji wtrącił się Marszałek Stalin i przyznał mi rację”.

O szczegółach pisze bliżej w swym raporcie ambasador Harriman, znajdując się one także w cytowanym na wstępie stenogramie rozmów, analizowanym na posiedzeniu Biura Politycznego. Znotowano w nim: „Churchill znowu przerywa, gdy mowa o Borze, i oświadcza, że cały świat uważa Bora za bohatera. Osóbką-Morawski: A naród polski uważa go za zdrajcę. Stalin nie zgadza się z tym, że Bór jest bohaterem, gdyż spowodował on wielkie straty narodowi przez powstanie warszawskie. Churchill, wycofując się, stwierdza, że rząd p. Mikołajczyka zrobił nieprzemysłany krok, mianując Bora wodzem naczelny”. Na zakończenie przywódca ZSRR, „reasumując wyniki konferencji, stwierdza, że ze strony PKWN wykazana została chęć do porozumienia się z Mikołajczykiem, wobec czego proponuje spotkanie delegacji PKWN i delegacji Mikołajczyka dla osiągnięcia porozumienia, z tym, aby w spotkaniu wziął udział Eden dla nacisku na Mikołajczyka. Mołotow dla nacisku na PKWN, a Harriman jako rozjemca. Zgodzono się. Z tym postanowieniem konferencję zakończono”.

Ostatecznie do rozmów obu delegacji nie doszło, mimo brutalnego nacisku wywieranego na Mikołajczyka przez brytyjskiego premiera. Głównym powodem była konieczność zaakceptowania nowej granicy wschodniej państwa polskiego. Na to Mikołajczyk, znając nastroje członków swego gabinetu, nie mógł się zgodzić.

Churchill udawał wobec szefa polskiego rządu, że nie rozumie gry prowadzonej przez Stalina w stosunku do Polski. Równocześnie jako wytrawny polityk zdawał sobie sprawę z formalnych i moralnych zobowiązań W. Brytanii wobec Polski. Legły one u podstaw wypowiedzenia 3 września 1939 r. Niemcom wojny. Teraz usiłował więc obarczyć rząd RP w Londynie pełną odpowiedzialnością za skutki gry prowadzonej przez trzy mocarstwa wobec Polski. Stanisław Mikołajczyk miał stać się kozłem ofiarnym przetargów na linii: Moskwa — Londyn — Waszyngton. Gdy premier rządu RP odrzucił osta-

teczne warunki Stalina jako platformę porozumienia się z PKWN, wówczas poirytowany Churchill oświadczył: „Wobec tego umygam ręce i tak dalece, jak my jesteśmy zaangażowani, wycofujemy się z tego. Przez spory między Polakami nie zamierzamy naruszyć spokoju Europy. W swym zaciętrzewieniu nie widzi Pan, co się dzieje. Nie rozejdziemy się w przyjaźni. Powiem światu, jak jesteście nierozumni. Chcecie wywołać nową wojnę [...]. Nie jesteście rządem, jeżeli nie możecie podjąć żadnej decyzji. Jesteście warchołami, którzy chcą zburzyć Europę. Pozostawiam Was samych z Waszymi kłopotami. Nie ma Pan poczucia odpowiedzialności, jeżeli chce Pan poświęcić ludzi z kraju, dla których jest Pan nieczuły ze względu na ich cierpienia”.

Ale efektywnego porozumienia nie chciał w tym czasie przede wszystkim PKWN, który dopiero przystępował do umacniania swojej władzy. Mówiono o tym podczas spotkań delegacji lubelskiej z przywódcą ZSRR: „Stalin pytał się, czy chcemy rozmawiać z Mikołajczykiem. Bierut: Porozumieć się chcemy, lecz wolelibyśmy, aby nastąpiło to później”.

W dalszej części sprawozdania z rozmów w Moskwie napisano: „Ustalono ze Stalinem, dać 1/3 część mandatów londyńcykom, z tym aby prezesurę oddać Mikołajczykowi. Stworzyć prócz tego dwóch zastępców, a to Morawskiego z FPS i [...] z ramienia PPR. Stalinowi podobała się koncepcja takiego Prezydium. Dłuższy czas dyskutowano. Ponieważ wszystkie ważniejsze teki proponowano utrzymać w rękach naszych [podkreślenie — J. W.], Mołotow zauważył, że należy dać im również ważniejsze teki. Ustalono, aby im oddać:

1. Premierostwo
2. Odbudowę kraju
3. Odszkodowania
4. Finanse
5. Kulturę i Sztukę
6. Opiekę społeczną.

Uważaliśmy, że wojsko i prezydent powinni pozostać w naszych rękach. Stalin powiedział, że trzeba wziąć pod uwagę, że oni mogą wysunąć gen. Żeligowskiego. Należałoby się zgodzić wówczas z tym, że Zymierski byłby zastępcą siedzącym w kraju i politycznym kierownikiem, a Żeligowski siedziałby za granicą do czasu. Zresztą on stary, można sobie poradzić z nim. Uzgodniono, że jeśli Mikołajczyk nie wysunie tej propozycji, to wysunie ją nasza delegacja. Odnośnie prezydenta, Stalin proponuje, aby Bierut stał się bezpartyjnym”. (Bliżej o okolicznościach tej propozycji pisałem już w „Relacjach” nr 6 z 1989 r.).

Chociaż do spotkania członków delegacji PKWN i rządu RP w Londynie nie doszło, to 17 października spotkali się ich szefowie. Miało to miejsce w kawiarni hotelu, gdzie mieszkał Bierut. Przy jednym stoliku zasiadli przewodniczący KRN i Stanisław Mikołajczyk. „Mniszek, sekretarz Mikołajczyka, i major, adiutant Bieruta, usiedli obok”.

Treść tej rozmowy znana jest zarówno z relacji Bieruta, jak też ze „Sprawozdania ministra T. Romera z drugiej podróży premiera Mikołajczyka do Moskwy (10—22 października 1944 r.)”. Przywódca polskich ludowców na wstępie poinformował, iż sposób, w jaki Stalin postawił problem granic wschodnich, jest główną barierą porozumienia.

„Bierut: Przecież Pan nie mógł być zaskoczony linią Curzona.

Mikołajczyk: Linia Curzona miała w Małopolsce dwa warianty: A i B. Wariant B przewidywał pozostanie Lwowa i Borysławia przy Polsce. Ponieważ Churchill poparł Stalina odnośnie wariantu A, zatem czuje się tym zaskoczony i musi się porozumieć z kolegami. Uważa, że sytuacja jest tragiczna dla Polski, lecz trzeba będzie się jednak zgodzić. [...].

Bierut: [...] On, Mikołajczyk, sam jest w tej chwili sztandarem dla polskiej reakcji, niezależnie od tego, co myśli sam o sobie. Proponuje mu, aby odciął się od reakcji, tj. porozumiał się z PKWN niezależnie od stanowiska innych członków rządu.

Mikołajczyk: Broni członków swego rządu jako demokratów. [...] Poza tym pyta, któż u niego tam jest reakcjonistą?

Bierut: Chociażby Kukiel i ks. Kaczyński. Kukiel miał to nieszczęście, że dał się wciągnąć do afery katyńskiej. Ks. Kaczyński to czerwony mason. Poza tym u niego silne intelekty, a u nas prócz Bieruta, Wasilewskiej Jędrzychowskiej — to ludzie, którzy nie nadają się do rządu. Chwali Komarnickiego jako wybitnego intelektualistę, a także Seydę i innych.

Bierut: Pana również Bielecki popiera.

Mikołajczyk: Nieprawda.

Bierut: Cała reakcja idzie pod pańskim sztandarem do walki z demokracją. [...] Pyta, dlaczego nie chce zdobyć się na taki krok polityczny, który by go odsunął od reakcji.

Mikołajczyk: Co ma zrobić?

Bierut: Dwa miesiące proponowaliśmy Panu objęcie teki premiera w PKWN i zerwanie z sanacją”.

W dalszej części rozmowy dyskutowano o warunkach ewentualnego porozumienia. Bierut konsekwentnie bronił zasady uznania PKWN przez Mikołajczyka i odrzucił proponowany przez niego warunek uzyskania połowy tek przez przedstawicieli rządu RP w Londynie. Przewodniczący KRN gotów był ofiarować jedynie 1/4 tek w przewidywanym składzie rządu. Jak widać, świadomie podwyższał poprzeczkę, gdyż ustalenia poczynione ze Stalinem pozwalały mu określić granice kompromisu na 1/3 miejsc dla przedstawicieli rządu RP w Londynie.

Deklarując werbalnie wolę porozumienia, Bierut stwierdził: „Myśmy wzięli odpowiedzialność za demokratyzację Polski i dlatego musimy mieć większość. Możemy się zgodzić na wejście jednej piątej czy jednej czwartej. Was z Londynu, a na miejscu z ludzi poszczególnych stronnictw znajdziecie swoich popleczników”. W końcowym fragmencie rozmowy Bierut nie omieszkał zaprezentować swego politycznego cynizmu.

„Mikołajczyk: Wyraża żal, że nie będzie mógł przyjechać do Londynu z czymś bardziej pocieszającym do swoich kolegów.

Bierut: Dopóki Pan nie przestanie jeździć po pełnomocnictwie do Londynu, to trudno będzie dojść do porozumienia. Czy więc rozchodzimy się na zawsze?

Mikołajczyk: Nie uważam”.

Rozmowy moskiewskie zakończyły się fiaskiem. Perspektywa porozumienia na arenie międzynarodowej w sprawie polskiej ponownie oddaliła się. Tymczasem w kraju konsekwentnie realizowano linię wewnętrzną „porozumienia”, wytyczoną w przemówieniu szefa resortu Bezpieczeństwa PKWN — Stanisława Radkiewicza i propagowaną usilnie przez przywódcę Polskiej Partii Robotniczej — Władysława Gomułka.

Jesień 1939

Zbigniew R. Muszyński

TAJNY załącznik do paktu Ribbentrop — Molotow z 23 sierpnia 1939 r. określając jednocześnie granicę „stref wpływów” niemieckich i radzieckich na ziemiach polskich, przeznaczał dla zabory ze wschodu tereny znajdujące się na wschód od Sanu i Wisły, a w tym i Lubelszczyznę, leżącą między Wisłą i Bugiem. Mimo tych ustaleń wojska niemieckie już na początku drugiego tygodnia wojny (8 września pod Sankiem) weszły na teren „stref wpływów” radzieckich, toczyły na tym terenie walki i zajmowały dalsze miejscowości. W dniu zaatakowania Polski przez Związek Radziecki jednostki Wehrmachtu na niektórych odcinkach frontu znajdowały się już kilkadziesiąt kilometrów za ustaloną linią demarkacyjną, a w następnych dniach, już po rozpoczęciu działań wojennych przez Armię Czerwoną, przesyłały się jeszcze dalej na wschód, docierając do miejscowości leżących przeszło sto kilometrów od ustalonej porozbiorowej granicy. Głęboko weszły wojska niemieckie także na Lubelszczyznę.

21 i 22 września niemieckie OKH (Oberkommando des Heeres) wydała rozkazy o wycofaniu wojsk na ustaloną linię demarkacyjną. Wycofywanie przebiegało według określonego harmonogramu, w okresie od 23 września do 4 października. Wycofujące się oddziały miały wywieźć z opuszczanego terenu uzbrojenie i sprzęt wojskowy, a także zapasy żywności, bydło, konie oraz wyposażenie i środki medyczne i weterynaryjne. Harmonogram przewidywał, iż ostatnie oddziały z Lubelszczyzny powinny być przekroczyć Wisłę pod Dęblinem do 3 października. Każdą opuszczaną przez Niemców miejscowość wojska radzieckie miały zajmować po 24 godzinach. W wyniku takich działań pas rozgraniczenia obydwu przyjaźielskich armii powinien wynosić około 25 kilometrów i dotyczyć wojsk lądowych oraz lotnictwa.

Niezależnie od niemieckich ustaleń, najprawdopodobniej uzgodnionych ze stroną radziecką, przekazywanie niektórych miejscowości przebiegało zupełnie inaczej. Według wspomnień mieszkanki jednego z małych wschodnich miasteczek — „[...] w bardzo dużym pośpiechu ciężarówkami niemieckie wyjeżdżały gościnnie, przed naszymi oknami, z miasta. Niemcy pakowali się w bardzo dużym pośpiechu i ładowali na te ciężarówkami, a naprzeciwko, po drugiej stronie gościnnicy, mniej więcej co trzy metry stały komisarze bolszewicy — bo tak ich wtedy nazywano: nie radzieccy ani nie sowieccy, tylko po prostu Bolszewicy albo Moskale — w okrągłych czapkach, z pistoletami w garści, patrzyli na zegarki i czekali, czy rzeczywiście do godziny trzeciej po południu wszyscy Niemcy zostaną wycofani. Ostatnie auta ciężarowe wyjeżdżały i patrzyliśmy, jak jakiś Niemiec, który nie zdążył czy się spóźnił, zaczął doganiać ostatnią wyjeżdżającą ciężarówkę — w potwornym obłądzeniu, strachu, przerażeniu, panice, w jakimś zupełnym szoku, że może nie zdążyć, że może nie złapać tej ostatniej ciężarówki... Gonił ją, a te zimne, sztywne figury z naganami w garści stały i czekały: zdąży czy nie zdąży... To był niesamowity widok! W końcu ktoś się w tej ciężarówce zorientował i zabrali go... Wtedy moja mama powiedziała, że jeżeli w ten sposób odbywa się zmiana warty na okupowanym terytorium między przyjacielami, to długo ta »przyjaźń« nie potrwa”.

Kilka miejscowości większych, lub z innych powodów uznanych za ważne (np. Osowiec z twierdzą), przekazywali Niemcy władzom radzieckim w sposób manifestacyjnie uroczysty, z defiladami, bankietami. Należały do nich m. in. Augustów, Białystok, Brześć, Przemysł. W Brześciu odbyła się — filmowana przez obydwie strony — defilada jednostek Armii Czerwonej zajmujących miasto, a wśród odbierających ją dowódców radzieckich był na trybunie także niemiecki zdobywca miasta i twierdzy Brześć, gen. H. Gudderian.

Podobne uroczystości planowane były również w Lublinie, ale ustalenia zawarte w drugim pakcie Stalina z Hitlerem (z 28 września „o granicach i przyjaźni”) spowodowały zmianę okupacyjnej przynależności Lublina, pozostawiając miasto i województwo w rękach niemieckich. W związku z tym defiladę na Placu Litewskim zorganizowali w pierwszych dniach października Niemcy, a wśród przyjmujących ją był podobno jakiś wysoki oficer radziecki. W jednym z październikowych numerów organu NSDAP „Volkischer Beobachter” znajduje się podobno opis tej uroczystości, ale nie miałem na razie możliwości dotarcia do niego. A może żyją jeszcze mieszkańcy Lublina, którzy widzieli tę defiladę i radzieckiego gościa?

WYSIEDLANIE ŻYDÓW

Ciekawym i nawet w pewnym sensie zagadkowym przyczynkiem do dziejów „granicznych” stosunków niemiecko-radzieckich w rejonie zachodniej Lubelszczyzny, jest sprawa wysiedlenia Żydów w ostatnich dniach września, lub nawet na przełomie września-października 1939 r., z pobliska ustalonej pierwszym układem Ribbentrop — Molotow „linii demarkacyjnej”. Zrealizowane to zostało (o czym pisał dr M. Wieliczko — „Relacje” nr 33) w następstwie decyzji Himmlera, wydanych w związku z objęciem przez niego stanowiska komisarza Rzeszy do spraw umocnienia niemieckich na Wschodzie. Wysiedleniem, przeprowadzanym przed dotarciem do

administracji niemieckiej wiadomości o nowych moskiewskich ustaleniach z 28 września, objęto ludność żydowską miast i miasteczek położonych w pobliżu Sanu, na całej jego długości od Leska do ujścia pod Sandomierzem, czyli nad ustaloną 23 sierpnia w Moskwie „granicą” między „strefami wpływów” Rzeszy Niemieckiej i ZSRR.

Wysiedlenia nad górnym i środkowym Sanem (do powiatu nizańskiego włącznie) polegały na usunięciu Żydów z dotychczasowych miejsc zamieszkania z pozostawieniem ich na terenach włączanych (zgodnie z paktem z 23 sierpnia) do „stref wpływów” Rzeszy Niemieckiej. Natomiast wyjątkiem w sposobie przeprowadzenia wysiedlenia był powiat tarnobrzeski, w którym z Tarnobrzega, Rozwadowa i (prawdopodobnie) Radomyśla nad Sanem wypędzono Żydów, zmuszając ich do wejścia kilkanaście kilometrów w głąb „strefy wpływów” ZSRR. Żydów z Tarnobrzega i Rozwadowa nie tylko przepędzono przez San, ale goniono przez lasy, podobno aż pod Janów Lubelski i zabroniono im kategorycznym powrotem do miejsc dotychczasowego zamieszkania. „Radzono im” w ten sposób, aby „poszli do Ruskich”.

Warto zwrócić również uwagę, iż wspomniane miasteczko Radomyśl leży nad Sanem, ale na jego prawym brzegu (podobnie jak Sieniawa, również objęta wysiedleniami), a więc — według paktu z 23 sierpnia — znajdowało się w radzieckiej „strefie wpływów”. Jeśli rzeczywiście Niemcy wysiedlili Żydów również z Radomyśla nad Sanem, było to chyba nieporozumieniem spowodowanym przynależnością miasteczka do powiatu tarnobrzeskiego i, w związku z tym, potraktowaniem tej miejscowości przez niemieckie władze powiatu analogicznie do Rozwadowa, leżącego na drugiej stronie rzeki, bez uwzględnienia położenia Radomyśla w stosunku do projektowanej granicy. A może wysiedlenia objęły Żydów z Radomyśla Wielkiego (w powiecie mieleckim, który był również w obszarze wysiedlenia), a nie Radomyśla nad Sanem? Były już przecież przypadki konstruowania dziejów Kazimierza Dolnego na podstawie źródeł dotyczących Kazimierza — dzielnicy Krakowa. Była podobna historia z Dzikowem — dziś dzielnicą Tarnobrzega — który w monumentalnym dziele „Miasta polskie w tysiącleciu” został „zniszczony” przez Ukraińców” tylko na podstawie nazwy takiej samej, jak wieś Dzików w Lubaczowskim. Liczyliśmy, że starzy mieszkańcy Radomyśla nad Sanem,



Rozmowy między niemieckimi żołnierzami i członkami sowieckimi w Lublinie 1939 r.

pamiętający początek wojny, sprawę wyjaśnią.

Większość nagle wysiedlonej ludności żydowskiej z terenów Tarnobrzeskiego w niedługim czasie wróciła z Sanu do swych domostw. Niemcy nie przeszkadzali w tym, ponieważ powód wysiedlenia przestał istnieć — „granicą” została odsunięta na wschód przez

i około tysiąca mieszkańców Bilgoraja narodowości żydowskiej. Być może ocena ilościowa zjawiska na przykładzie Bilgoraja nie jest najwłaściwsza. może wykazywać wyższy od przeciętnej odsetek uciekinierów, gdyż wspomniane już spalanie dużej liczby domów w Bilgoraju niewątpliwie wpłynęło na zwiększenie liczby uchodź-

ARMIA CZERWONA

włączenie Lubelszczyzny do niemieckiej „strefy wpływów”. Oczywiście, olbrzymia większość tych Żydów zginęła później w wyniku prowadzonego przez Niemców planowego masowego wyniszczania całego narodu.

Według powszechnego w okresie okupacji przekonania mieszkańców Tarnobrzega i Rozwadowa oraz na podstawie informacji rozpowszechnionych przez urzędników starostwa tarnobrzeskiego, decyzję o wypędzeniu Żydów z terenu powiatu do radzieckiej „strefy wpływów” podjął z pełną świadomością niemiecki wojskowy komendant powiatu tarnobrzeskiego, podobno Austriak, który — być może — zdając sobie sprawę z tego, co czeka Żydów w najbliższym czasie pod niemieckim panowaniem, nie chciał współuczestniczyć w przyszłych zbrodniach i obciążać nimi swego sumienia, postanowił więc uratować Żydom życie, czego zresztą nie udało mu się dokonać.

UCHODZCY

Nie wiemy, z jakim przyjęciem ze strony Rosjan spotkali się wypędzeni przez Niemców za San żydowscy „bieżący” z Tarnobrzegiska. Skoro prawie wszyscy wrócili, a wiemy również i o innych powrotach ze wschodu, jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej, to sądzić można, iż przyjęcie niezbyt zachęcało do pozostania, nie stwarzało nadziei na szczęśliwy pobyt. O tragicznych losach jednej grupy, dobrowolnie wybierających się z Rosjanami Żydów hrubieszowskich, wspomiano w poprzednim odcinku. Grupa takich, dobrowolnie udających się na wschód, którym jednak nieco lepiej ułożyły się losy, niż Żydom z Hrubieszowa, było wiele.

W pierwszych dniach października, kiedy znane stały się decyzje Stalina i Hitlera o przekazaniu Lubelszczyzny i wschodniej części województwa warszawskiego Niemcom, nastąpiły masowe ucieczki — z wycofującą się Armią Czerwoną — działaczy rad i komitetów rewolucyjnych i członków „opaskowej” czerwonej milicji. Prawie z każdego miasteczka Lubelszczyzny wyjechały na wschód z radziecką armią liczne grupy dobrowolnych uchodźców, złożone nie tylko z komunistycznych działaczy, ale również z Żydów, obawiających się o swoje życie pod zaborem niemieckim.

O skalę tego zjawiska może świadczyć przykład Bilgoraja, skąd — według ustaleń J. Markiewicza — wyjechały wszyscy członkowie komitetu z rodzinami, część milicji z rodzinami

ów. Nawet gdyby tak było, nie zmienia to faktu, iż z każdego prawie miasteczka Lubelszczyzny znacząca część komunistów i Żydów udała się w początkach października na dobrowolną emigrację do ZSRR.

Ludzie ci, w zdecydowanej większości, przyjęli już na terenach zagarniętych ziem wschodnich Rzeczypospolitej lub później w głębi Rosji — z własnej woli — obywatelstwo radzieckie. Wobec powszechnego zmuszania mieszkańców wschodnich terenów Polski do przyjmowania takiego obywatelstwa, samorzutne jego przyjęcie przez wielu „bieżących” z Polski centralnej było w tamtych czasach przez znaczącą część społeczeństwa polskiego oceniane bardzo krytycznie.

Była to kwestia wyjątkowo drażliwa i istniało powszechne przekonanie, iż dobrowolne przyjęcie obywatelstwa ZSRR traktowane będzie — podobnie jak po wojnie z bolszewikami w 1920 roku — jako zdrada państwa polskiego i podlegać będzie sądom, lub też — jak krążyły pogłoski, może celowo rozpuszczane przez organizacje konspiracyjne — wyrzekający się w czasie wojny polskiego obywatelstwa nie będą po wojnie wpuszczani do wolnej Polski.

Sytuacja Polski po wojnie uległa jednak takim przeobrażeniom, iż ludzie zdradzający na początku i w trakcie wojny kraj i legalne władze polskie uznani zostali za bardzo zasłużonych i pełnili po lipcu 1944 r. odpowiedzialne funkcje w aparacie nowej władzy, gospodarce, kulturze itp. Przykładami mogą być chociażby wspomniani już bilgorajscy Knapowie, rodzina chełmskich Żydów Kratko czy też lubelska działaczka żydowskiego lewicowego ruchu młodzieżowego, Róża Fiszman-Sznajdman (której wspomnienia „Mój Lublin” wydało niedawno Wyd. Lubelskie) oraz tysiące innych. Zdarzały się również przypadki, iż żydowskie rodziny, niekiedy nawet komunizujące, które opuściły Lublin i Lubelszczyznę w obawie przed Niemcami, wracały po pewnym czasie ze wschodu na dawne miejsca zamieszkania, rozczarowane przyjęciem i warunkami życia, z jakimi spotkały się u Rosjan. Do takich należeli m. in. lubelscy Nisbaumowie. Większość z tych, którzy wrócili, zginęła później w wyniku niemieckiego ludobójstwa.

USTALENIE GRANICY

Zgodnie z radziecko-niemieckim układem z 28 września, wytyczona została w południowej i środkowej Polsce następująca linia graniczna między hitlerowskimi Niemcami i

ZSRR: Sanem od źródła do Sieniawy (dla Niemiec), następnie w kierunku wschodnim wzdłuż linii Cieplice (dla Niemiec) — Oleszyce — Lubaczów — Horyniec — Werchrata (wszystkie dla ZSRR) — rzeka Sołokija od kolana 10 km na p.n. od Rawy Ruskiej do ujścia do Bugu i dalej Bugiem od Krystynopola do Malkini Górnej.

Po ustaleniu ostatecznej linii granicznej wojska niemieckie i radzieckie miały się odpowiednio przemieszczać do 12 października w celu osiągnięcia w tym terminie przez obydwie strony uzgodnionego rozgraniczenia. Według harmonogramów wydanych przez OKH i dowódcę „Oberost”, przewidziano osiągnięcie przez siły niemieckie na Lubelszczyźnie Bugu na zachód od Drohiczyzna do 10 października i wyjście nad Bug na odcinku Krystynopol — Terespol do wieczora 12 października. Dowódcy dużych jednostek niemieckich, mających przejmować tereny dotychczas zajęte przez Armię Czerwoną, wydawali w tej sprawie własne rozkazy, regulujące sposób przejmowania miejscowości i wprowadzania okupacji niemieckiej na Lubelszczyźnie. M. in. dca 14 armii niemieckiej wydał 3 października rozkaz w sprawie przejmowania południowej Lubelszczyzny, w tym Zamościa i Tomaszowa Lubelskiego.

Wehrmacht śledził również na bieżąco postępy opuszczania Lubelszczyzny przez Armię Czerwoną i podawał odpowiednie informacje na ten temat we własnych rozkazach dziennych. Dca IV korpusu armijnego w rozkazie

stauracja. Przejechało koło nas kilkanaście samochodów i tankietek z Ruskimi, z wojskiem, zajęli przed pałac radziwiłłowski, gdzie mieściło się niemieckie Ortskommando. Była to podobno ta ruska komisja do wytyczenia granicy.

Podszedł do nas niedługo po przyjeździe jeden z ruskich oficerów. Szarży oczywiście nie znałem. Ubrany w jakiś taki watowany kubrak, w butach w harmonijkę. Podchodzi i pyta: — „Słysz, towarzysze! Kuda zdies uhrmacher?” Zrozumiałem, że chodzi o zegarmistrza. Pewnie chce zreperować zegarek, to trzeba go zaprowadzić. Poszliśmy z Wójcikiem i zaprowadziliśmy go do zegarmistrza Piotrowskiego. Mieszkał on na Okopowej, pod 16-tym zdaje się, na trzecim piętrze. Wchodzimy tam: — „Dzień dobry!” — „Dzień dobry!” — odpowiada zegarmistrz. — „Panie Piotrowski, przyprowadziliśmy tutaj oficera sowieckiego z komisji granicznej, która przyjechała do Lublina. On chyba chce zreperować sobie zegarek”. A ten wyciąga w tym czasie z watowanej kurtki zegarek budzik i mówi: — „Zdziej mi taki malenkij na ruku!” Piotrowski do niego: — „A jakiesz ja to mogę zrobić?! Z tego to się już nic nie robi” — powiedział, wskazując na budzik. — „Durak! Z etowo iszczo dwa zdielajesz!” Tak się skończyła ta rozmowa. Zegarka na rękę nie dostał.

Niezależnie od tego, czy wydarzenie to jest faktem (jak zapewnia opowiadający), czy tylko anegdotą, oddaje ono koloryt i klimat tamtego czasu.

Wytyczona w terenie granica nanoszona była na radzieckie mapy w skali 1:100 000, których egzemplarze zatrzymali obydwoj ukladający się zaborcy. Pięć arkuszy takich radzieckich map, z naniesioną linią graniczną na polskim terytorium, znajduje się w archiwum bońskiego MSZ. Każdy z arkuszy podpisany jest przez W. Mołotowa i F. Schulenburga.

Komisja delimitacyjna w terenie przemieszczała się wzdłuż przyszłej granicy i niekiedy wieczorem, po dniu pracy niemiecko-radzieckiego zespołu, mieszkańcy tej czy innej czysto polskiej wsi na terenie południowej Lubelszczyzny dowiadywali się od sąsiadów, w którym domu komisja się zatrzymała, że od jutra oni znajdą się w ZSRR, a ich sąsiedzi z drugiej strony drogi, rzeczki czy łąki będą „pod Niemcami”. Zdarzały się przypadki, że gospodarstwo zostawało po jednej stronie granicy, a należąca do niego ziemia było po drugiej. Sytuacja ta powodowała nagle przemieszczenia ludności. Godząc się z losem, nie opuszczali na ogół gospodarstw rolnicy, natomiast właściciele i dzierżawcy przygranicznych majątków ziemskich, wyższa służba dworska (ekonomowie, rządcy) i leśna, widząc na podstawie 2-, 3-tygodniowych rządów radzieckich, na co się zanosi, opuszczali z rodzinami i możliwym do zabrania dobytkiem powstającą strefę przygraniczną i przenosili się na stronę niemiecką.

Gospodarstwa, które znalazły się po stronie radzieckiej w bezpośrednim sąsiedztwie granicy, były wysiedlane,

Spółeczeństwo Lubelszczyzny, mimo zgodnych informacji obydwu umawiających się przyjaciół, nie miało zaufania do przekazywanych wiadomości. Uporczywie krążyła w początkowych tygodniach października plotka o następnej zmianie granicy, w której wyniku do okupacyjnej strefy ZSRR miały zostać dodatkowo włączone powiaty: chełmski, hrubieszowski, tomaszowski i zamojski. Było to może związane z działaniem w tym czasie w terenie niemiecko-radzieckich zespołów wytyczających granicę. Plotkę tę dementował „Głos Lubelski” w numerze 252 z 21 października, donosząc, iż „pogłoska o nowej linii granicznej nie odpowiada rzeczywistości”.

Przekraczanie wytyczonej i zabezpieczonej granicy w jedną lub drugą stronę było połączone z olbrzymim niebezpieczeństwem i ryzykiem. Mimo tego odcinek niemiecko-radzieckiej „suchej” granicy między Bugiem i Sanem był bardzo często pokonywany przez oficerów WP i innych młodych ludzi, usiłujących dostać się do granicy węgierskiej i dalej przez Węgry do PSZ na Zachodzie. Tu również usiłowali najczęściej przekraczać rozbirowe kordony kurierzy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej, kierownicy do komendy obszaru lwowskiego i odwrotnie — ze Lwowa do Warszawy. Od strony województwa (dystryktu) lubelskiego istniała przy granicy sieć punktów kontaktowych, informatorów i przewodników, znacznie gorzej było natomiast od strony przeciwnej, gdzie ludność ukraińska (Polacy z pobliza granicy zostali wywiezieni) pomagała w wylapywaniu przechodzących. M. in. przez ten odcinek przechodziła jako kurierka KG ZWZ Wanda Ossowska, późniejszy więzień NKWD i jeden z nielicznych świadków wymordowania przez Rosjan po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej więźniów we Lwowie. Po cudownym prawie ocaleniu z rąk NKWD przeszła W. Ossowska jeszcze przez niemieckie więzienia i obozy koncentracyjne. Właśnie ona, jako przedstawicielka więźniów obydwu zaborców, witała na Majdanku papieża Jana Pawła II w czasie Jego kolejnej pielgrzymki do ojczyzny. Z nią właśnie papież rozmawiał tak długo o losach i tragicznych przeżyciach rodaków w czasie ostatniej wojny.

NA LUBELSZCZYŹNIE

dziennym z 8 października informował, że „Rosjanie w okolicach Włodawy już wczoraj wycofali się za Bug” i polecał ponownie osiągnięcie „linii demarkacyjnej” (a nie granicy, jak określali Rosjanie) na Bugu do 12 października włącznie.

Troskę o szczelność powstałej „granicy przyjaźni” wzięła na siebie głównie strona radziecka. Wojska pogranicza NKWD przystąpiły do przegrupowania i formowania nowych oddziałów pogranicznych równocześnie z rozpoczęciem przez ZSRR agresji na Polskę. Już 21 września, w cztery dni po napadzie na Polskę, rozpoczęto formowanie 15 nowych oddziałów i pilnego obsadzania granic z Łotwą i Litwą na północy Polski oraz Rumunią i Węgrami na południu. Chodziło o uniemożliwienie wyjścia z kraju polskim wojskowym i przeszkodzenie w formowaniu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Po „ostatecznym” ustaleniu granicy w wyniku wrześniowego paktu z Hitlerem i październikowych roboczych porozumień, wydano 8 października podstawowy rozkaz w sprawie organizacji ochrony nowej granicy zachodniej ZSRR przez Okręgi białoruski i kijowski wojsk ochrony pogranicza NKWD.

WYTYCZANIE ROZBIOROWEJ GRANICY

Do wytyczenia granicy powołana została w Moskwie 4 października 1939 r. mieszana komisja niemiecko-radziecka. Dokument w tej sprawie, określający słownie przebieg granicy wytyczonej na słynnej mapie z podpisami Stalina i Ribbentropa, podpisany został przez ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR, W. Mołotowa, ambasadora niemieckiego w Moskwie, F. von Schulenburga, oraz attaches wojskowych obu państw i znajduje się do dziś w archiwum bońskiego MSZ.

Powołana komisja prowadziła w październiku prace w terenie i przebywała w tym czasie również na Lubelszczyźnie. O jej pobycie w Lublinie i zabawnym wydarzeniu z tym związanym wspomina jeden z członków działającej jeszcze wówczas „Straży Obywatelskiej”, powołanej przez prezydenta miasta we wrześniu („Straż” rozwiązana została przez władze niemieckie dopiero pod koniec października 1939 r.):

„Było to w październiku, chyba w pierwszej połowie. Byłem jeszcze w tym czasie w „Straży Obywatelskiej”. Stałem rano z innymi na warcie koło „Europy”, tam gdzie i dzisiaj jest re-

Właściwie, po przeczytaniu w jednym z niedawnych numerów „Tygodnika Demokratycznego” (nr 38 z 17 września b.r.) wyznań Leona Chajna, wtyczki komunistycznej w Stronnictwie Demokratycznym, dotyczących między innymi jego szefa Jana Czachowskiego, ministra sprawiedliwości w powojennym polskim rządzie, trudno wątpić w prawdziwość przytoczonej, wojennej anegdoty.

L. Chajna tak wspomina ministra, swego przełożonego: „[...] kierownik resortu sprawiedliwości Jan Czachowski, uległ wypadkowi przy lądowaniu samolotu, złamał nogę i leżał w szpitalu w Moskwie [...]. Gdy powrócił z kuracji, to prezesi sądów uważali za swój obowiązek złożyć mu kurtuazyjną wizytę. Ja drżałem, ale nie mogłem przecież im powiedzieć, żeby tego nie robili. Więc jak do niego przyszedł prezes Łódzkiego Sądu Apelacyjnego, Prokopowicz i w czasie wizyty spojrział na zegarek, to Czachowski niedwuznacznie zażądał tego zegarka, z motywacją, że trudno pracować nie mając zegarka i zabrał go”. Podobnie jak w szczerości L. Chajna w tym przypadku nie należy wątpić, tak i w prawdziwość powyższej anegdoty o radzieckim oficerze w Lublinie można uwierzyć.

Wspominana już mapa, stanowiąca załącznik do układu „o granicy i przyjaźni”, była podstawą do wytyczenia tej „granicy przyjaźni” między obydwoma zaborcami na terenach rozdartej Polski. Warto sięgnąć znowu do cytowanych już wspomnień G. Hilgera, który pisze w książce uprzednio wymienionej (s. 297): „W oparciu o tę linię niemiecko-radziecka komisja graniczna musiała później wytyczyć granicę. Była to praca mozolna, pochłaniająca wiele wysiłku i powodująca długie dyskusje, ponieważ kontrahenci radzieccy trzymali się niewolniczo niebieskiej linii, nawet jeżeli to w praktyce powodowało skutki bezsensowne, jak przecięcie małych miejscowości czy dzielnic mieszkaniowych. Postępowali tak tylko dlatego, ponieważ linię tę własnoręcznie wykreślił Stalin”. Jak wspomina dalej G. Hilger, Rosjanie pracujący w terenie w mieszanej komisji mieli podobno na stole pod szkłem mapę z linią wykreśloną przez Stalina i kurczowo trzymali się jej nieprecyzyjnych ustaleń.

Na wschodzie Lubelszczyzny wytyczanie granicy nie nastęrczało większych kłopotów, ponieważ przyjęto naturalną granicę — rzekę Bug. Przebieg południowego odcinka granicy, łączącego środkowy Bug ze środkowym Sanem, budził natomiast sporo wątpliwości, powodował dyskusje i spory.

na granicy stawiano w szybkim tempie ploty i zasieki z drutu kolczastego i zaorywano sąsiedni pas ziemi, aby łatwiej było zauważyć na świeżej, codziennie bronowanej ziemi ślady wrogów i szpiegów, którzy — jak sądzono — niewątpliwie będą usiłowali przechodzić przez granicę.

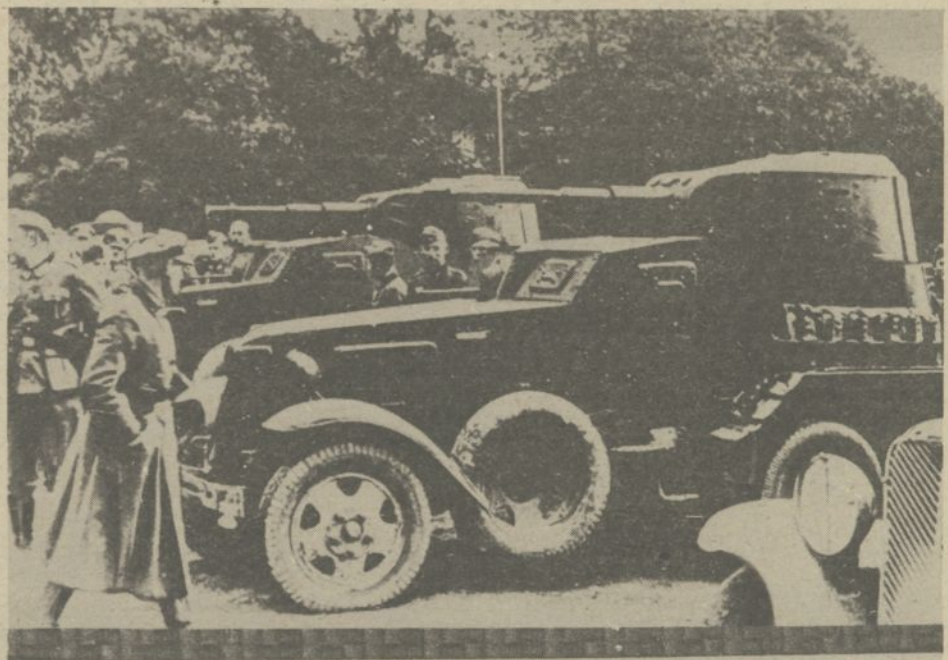
22 października podpisano w Moskwie dwie umowy niemiecko-radzieckie: o oznaczeniu granicy i o wymierzeniu granicy na mapach i w terenie. Zabezpieczanie wytyczonej granicy trwało po stronie radzieckiej mniej więcej do połowy listopada 1939 r.

O ustaleniu granicy między obydwoma zaborcami i jej przebiegu na terytorium Polski społeczeństwo polskie było informowane m. in. przy pomocy zaczynającej się już ukazywać prasy hitlerowskiej w języku polskim (tzw. gadzinowej), a także prasy kontynuującej przedwojenną działalność, jak np. „Głos Lubelski”, który również donosił o tym. Również białkopodlaska efemeryda, sowiecka „Prawda Białej Podlaskiej”, wydawana zasadniczo w języku polskim, z wstawkami w języku jidysz, zakończyła swój dwudniowy żywot doniesieniem w numerze 2 z 2 października o nowym niemiecko-radzieckim pakcie o „granicach i przyjaźni”, w którego wyniku Biała Podlaska znaleźć się miała w zaborze niemieckim.

Kończąc cykl artykułów o pobycie i działaniach Armii Czerwonej na Lubelszczyźnie w jesieni 1939 r., dziękuję wszystkim, którzy przekazując mi w rozmowach i korespondencji informacje na ten temat, przyczynili się na równi ze mną do powstania cyklu. Szczególnie dziękuję panu Januszowi Pomorskiemu z Puław, którego cenne materiały stanowiły podstawowe źródło do niektórych odcinków.

Zdając sobie doskonale sprawę z niedoskonałości i niepełności opracowania, jeszcze raz zwracam się z prośbą do Szanownych Czytelników o listy z oceną, o sprostowanie błędów, o rozszerzenie przedstawionych i wskazanie pominiętych tematów i zdarzeń. Z góry serdecznie dziękuję za wszelką pomoc.

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Archiwum Państwowego w Lublinie. Repr. Waldemar Stępień.



Niemieccy żołnierze oglądają sowieckie zwiadowce woty pancerne w Lublinie, 1939 r.

PRZEPRASZAM, NA SZCZĘŚCIE SIĘ POMYLIŁEM

Michał Zieliński

WARTYKULE „Jak tańczy dolar?” („Relacje z dn. 5 X) przedstawiłem prognozę zmian rynkowego kursu dolara. Wedle tej predykcji, z początkiem listopada miał on wynosić od 12 do 14,5 tys. złotych. Tymczasem rynek dewizowy spłatał mi psikus, nie chcąc tańczyć tak, jak mu każę. Z końcem października dolar chodził taniej niż w początku tego miesiąca.

Pomyliłem się. Stawia to w nie najlepszym świetle moje umiejętności zawodowe. Na osłodę pozostaje mi tylko to, że pomyłka ta jest w moim własnym interesie. Tańszy dolar to przecież niższe ceny kawy, gumy do żucia (istotną pozycją w budżecie, gdy ma się ośmioletniego syna), a także innych dóbr, gdyż wzrost kursu zawsze nieco podsyca inflację.

Z popełnionej pomyłki można się tłumaczyć. Bez wątpienia: nie doceniłem większej podaży zielonych, związanej ze zmniejszoną skłonnością lokowania ich w banku PKO SA (kwota przelewów, czyli ujawnionych dolarów, jakie prywatnymi kanałami dotarły do Polski, była po siedmiu miesiącach niższa niż przed rokiem, a przecież za granicę wyjeżdżało dwa razy więcej ludzi). Bez wątplenia nie doceniłem również spadku popytu na dolary, związanego z uznaniem przez ludzi za atrakcyjne takich lokat złotówkowych, jak obligacje i — zwłaszcza — mieszkania. Bez wątplenia źle oszacowałem nastroje społeczne, które mimo hiperinflacji, okazały się bardzo dobre (akcja protestacyjna przeciwko obniżaniu stopy życiowej zorganizowana przez OPZZ zgromadziła około pięćdziesięciu osób; jak obliczono, ta siedmiomilionowa organizacja delegowała zatem do niej jedną osobę na każde sto pięćdziesiąt tysięcy członków — selekcja musiała być ostrą!). Bez wąt-

pienia pewien wpływ miała tutaj także, związana z odmrożeniem rezerw wojskowych, wyraźna poprawa zaopatrzenia (np. wczoraj, po kilku latach poszukiwań, żona kupiła podwiązki i teraz zastanawia się czy — regulaminowo rzecz biorąc — nosić je do de-sousu polowego czy garnizonowego).

Wszystko to jednak są tłumaczenia post factum. Po fakcie każdy zaś jest mądry. I nie zmienia to faktu, że się pomyliłem i dolar, zamiast podrożeć, potaniał. Nawet przejściowe ustalenie cen alkoholu (Pewex — 80 centów, Polmos — 12 900 złotych), z którego wynikać powinien „wódczany” kurs w wysokości kilkunastu tysięcy złotych, nic tu nie zmieniło. Wprawdzie sklepy monopolowe opustoszały z klientów (tylko zagorzali patrioci kupowali gorzałkę za złotówki), ale dolar ani drgnął. Po podwyżce ceny pe-weksowskiej na „złoty czterdzieści” nawet nieco opadł.

Jest to ciekawe zjawisko, którego na dobrą sprawę nikt nie potrafi precyzyjnie wyjaśnić. Wiadomo, że kurs dolara zależy od: podaży „papierów”, zależnej w znacznej mierze od czynników psychologicznych popytu na nie oraz relacji cen. Historia gospodarcza nie zna przypadku, w którym przy gwałtownym wzroście cen krajowych taniałyby dewizy. Tak jednak się dzieje. Ma to dość paradoksalne konsekwencje. Przeciętą płacą wyrażoną w dolarach (w złotówkach około 250 tysięcy) gwałtownie wzrosła i przekraczając trzydzieści wasyngtonów, zbliżyła się do najwyższego poziomu w historii PRL (tyle wynosiła w drugiej połowie lat siedemdziesiątych). Równocześnie wszystkie podstawowe dobra w przeliczeniu na dolary gwałtownie podrożały. Kilogram żółtego sera, który nieodmiennie kosztował około czterechsetni centów, kosztuje dolara. Kostka masła podrożała z 15—20 centów na

pół dolara itd. Co ciekawe, tym samym struktura cen w Polsce zbliżyła się do występującej na Zachodzie.

Dalsze prognozy kursu są rozbieżne. Ponieważ moja przepowiednia teoretyczna się nie sprawdziła, z zacięciem wyczytałem w artykule Jadwigi Solskiej („Kurs według kantorów”, w: „Polityka — Eksport — Import” nr 22), co na ten temat sądzą tycooni rynku giełdowego. Otóż rodzimi tajkuni uważają, że: „nie sposób powiedzieć, co się z dolarem będzie działo jutro” (Waldemar Rychlica — szef kantorów Tebosu); „dolar nie stanie [..], w tym roku najwyższy skok może się opóźnić, ale im bardziej przesuń się to w czasie, tym skok będzie gwałtowniejszy” (Stanisław Kowalski — właściciel kantoru „Morskie Oko”). Spotkać można w środowisku kantorowym także opinie, że kurs — przynajmniej na jakiś czas — się ustabilizował.

Dużo od praktyków się nie dowiedziałem. Tyle to ja też wiem. Osobiście, mimo prognostycznej porażki, dalej uważam, że w układzie, w którym wszystkie towary drożeją, nie jest możliwa sytuacja, aby jeden z nich (na dodatek łatwo wymienialny na inne) taniał. Dlatego przypuszczam, że pójdzie w górę. Testem prawdy, jak zwykle, będzie druga połowa grudnia. Ile będzie wtedy kosztował?

PS.: Ostatnio z kilkudziesięciu felietoników o rozebraniu pomnika Franciszka Józwiaka-Witolda redakcja wycenzurowała mi fragment o tym, iż generał lubił chłopców (ale nie za to postawiono mu pomnik). Wycenzurowała pod pretekstem nierozpowszechniania niesprawdzonych pogłosek z niepewnego źródła. Źródłem był Jakub Berman (patrz Teresa Torańska: „ONI”). Jeżeli to jest niepewne źródło, to ja w żadnym wypadku nie mogę rozpowszechniać niesprawdzonych pogłosek.

DO ABSOLWENTÓW UMCS

LIST REKTORA Z OKAZJI INAUGURACJI XLVI ROKU AKADEMICKIEGO

SZANOWNI PAŃSTWO,
KOLEŻANKO, KOLEGO!

W imieniu Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Twojego Uniwersytetu, zwracam się do Ciebie — Absolwentko, „Absolwencie — z pozdrowieniem i oczekiwaniem na odpowiedź.

Wierzę, że dobrze wspomnienie swój Uniwersytet. Wspólnota akademicka UMCS — to nie tylko aktualni pracownicy i studenci Uniwersytetu, to także jego ABSOLWENCI oraz SYMPATYCY. Należyście do naszej wspólnoty, boście ten Uniwersytet swoją nauką tutaj współtworzyli, bo — w co bardzo wierzę — wracacie często swoim dobrym wspomnieniem do spędzonych tutaj lat.

Chciałbym jednak, aby wspólnotę naszą zespalały nie tylko dobre uczucia i dobre wspomnienia. Żywa wspólnota jest również zespoleniem przez OBOWIĄZEK, obowiązek wzajemny.

Jestem pewien, że Uniwersytet powinien rozszerzyć zakres swych obowiązków wobec Was. Podpowiedzcie nam, jak możemy to uczynić.

Do Was jednak również zwracam się o rozszerzenie Waszego obowiązku wobec Uniwersytetu, który — być może — jest już uniwersytetem Waszych dzieci lub nawet wnuków. Zwracam się do Was o wsparcie Uniwersytetu — o wsparcie moralne, ale i materialne. Możliwą drogą wsparcia jest FUNDACJA MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ.

Apeluję do Was o organizowanie się i pozyskiwanie sympatyków dla popierania FUNDACJI.

Zbliża się 50-lecie naszej Almae Matris. Musimy zespolić cały nasz dotychczasowy dorobek, aby jeszcze pełniej i wszechstronniej służyć Polsce. Jesteście nam bardzo potrzebni. Gdzie-

kolwiek jesteście, w Polsce czy daleko od Kraju, odpowiedzcie.

Prof. dr hab.
Zdzisław Cackowski
Rektor UMCS

PS. Zwracam się do Was wszystkich z prośbą o pomoc w przygotowaniu na 50-lecie informatora o absolwentach UMCS. Proszę o nadesłanie na mój adres (Pl. MCS 4, 20-031 Lublin) na zwykłej karcie pocztowej następujących informacji: 1) imię i nazwisko, 2) rok urodzenia, 3) wydział oraz kierunek studiów, 4) rok ich ukończenia, 5) koleje pracy zawodowej, 6) deklarowane formy działania na rzecz UMCS, 7) obecny adres zamieszkania i nr telefonu; pożądane są też rozszerzone informacje na dodatkowym arkuszu.

Konto Fundacji: Bank Przemysłowo-Handlowy w Krakowie, II Oddz. w Lublinie: 324207-1342-131. Fundacja MCS.

OGŁOSZENIA

„ALBAX” — wycieczki: Berlin Zach., Praga — Wiedeń, Wiedeń przez ZSRR, WRL, Lublin, 55-32-65 (13—17).

25403/G-2

Dwa agregaty chłodnicze 4XF7A kompletne — sprzedam. Wojciech Bogusz, Wola Sławińska 20, 20-829 Lublin.

25131/G

Kożuchy, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10.

23350/G-10

Legalna praca na Zachodzie — adresy. Agencja MBS 20-950 Lublin 1, skrytka 363.

25411/G-2

Masaż leczniczy — dochodząco. 254-84.

25263/G

„POLBEL” z o.o. 22-100 Chełm, tel. 541-89. Samochody z Belgii,

25077/G

Prawo jazdy eksternistycznie — dzięki firmie „IKOM”, tel. 55-23-79 (godz. 17—19).

25109/G

Video filmowanie, 55-23-90.

24606/G-2

Zagraniczne oferty matrymonialne paniom, panom poleca „Venus”, skr. 27, 59-850 Świeradów-Zdrój.

1/P-10

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr Muzyczny: 4-5.11; 7-8.11 godz. 19 (Dom Kultury Kolejarza): „Baron cygański” Johanna Straussa.
Teatr Lalki i Aktora: 2.11 godz. 12; 3.11 godz. 10, 12; 4-5.11 godz. 12; 7-8.11 godz. 10, 12; „Don Zan” anonim czeński; reż. Tomasz Jaworski.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia: 3.11 godz. 19, 4.11 godz. 18 — koncert recitalowo-symfoniczny. Wystąpią: Orkiestra Państwowej Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Ryszarda Komorowskiego oraz Tatiana Szebanowa (fortepian). W programie koncertu: Kolysanka D-dur, Sonata h-moll op. 58 oraz Koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina. 5.11 godz. 18 — koncert kameralny. Wystąpi Zespół Kameralny Muzyki Dawnej Moskiewskiej Filharmonii „CONCERTINO”. W programie: Koncert C-dur A. Vivaldiego, Koncert f-moll i Koncert a-moll P. Marzolla, Kwintet D-dur J. S. Bacha. Uwertura „Taniec duchów”. „Taniec furii” z opery „Acyd”. Uwertura „Syn rywal” D. S. Bortniańskiego. Uwertura do opery „Amerykanle” E. Fomina.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa malarstwa i instalacji Krzysztofa Rumowskiego.

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu barwnego Zygmunta Czyża, Muzeum na Zamku — wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4): 4.11 godz. 12 — otwarcie zbiorowej wystawy TPSP (z okazji jubileuszu 25-lecia TPSP).

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34): 3.11 godz. 17 — otwarcie wystawy artystów węgierskich (Debreczyn i okolice).

Wydział Pedagogiki i Psychologii UMCS (ul. Narutowicza 12) — wystawa pt. „Elementarze świata oraz Sztuka Dziecka” (czynna w piątek w godz. 10—14, w soboty w godz. 10—14; wycieczki po uzgodnieniu telefonicznym — tel. 222-66 w godz. 10—13).

Archiwum Państwowe (ul. Trybunalska 13) — wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci”.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Salon Wystawienniczy Muzeum Okręgowego — wystawa medallerstwa Zofii Demkowskiej i jej uczniów.
BWA — wystawa malarstwa (zbiory BWA w Białej Podlaskiej).

W CHELMIE

Galeria 72 — poplenerowa wystawa prac Okuninka '88.

W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa grafiki Leszka Różgi.
Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamienice Ormiańskie 26/28) — wystawa pt. „Ocalone dla przyszłości” (zbiory poddane konserwacji w latach 1975—1988); wystawa pt. „Zamość — historia renowacji”.

INFORMATOR

FIRMOWY „RELACJI”

Agencja detektywistyczna
czynna całą dobę — 55-42-27.
24951/G

Pośrednictwo paszportowe
Skłodowskiej 5 1/3, czynne środy, czwartki, piątki, soboty
14—17.
24952/G

Sklep „Odzież dziecięca”,
Lublin, Narutowicza 13, tel.
273-65, poszukuje producentów, ukierunkowanie produkcji, zapewnienie zbytu.
24898/G

SPROSTOWANIE

Podajemy prawidłowy numer konta Komitetu Ochrony Zabytków Cmentarnych w Lublinie: Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Lublina, Bank Przemysłowo-Handlowy, II Oddział w Lublinie, 324207-1935-132 (z dopiskiem, na jaki cel).

Czwartek

2 LISTOPADA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Głina z wyższych sfer” (5) — „Wypadek w city” — serial krym. ang.
10.20 Domator: To się może przydać
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 „W szczerym polu biały krzyż” — wojskowy program dok.
17.55 „Być reporterem: Małgorzata Niezabitowska i Tomasz Tomaszewski” (2)
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — magazyn gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Głina z wyższych sfer” (5) — „Wypadek w city” — serial krym. prod. ang.
21.00 Sport
21.10 Pegaz
21.55 Program public.
22.25 Dt — echa dnia
22.40 Jutro w programie
22.45—23.15 Język angielski (33)
PROGRAM II
16.50 Język rosyjski (3)
17.20 Program dnia
17.25 Skarby kultury polskiej: „Blask eocenu” — film dok.
18.00 Program lokalny
18.30 Łódzkie nekropolis
19.00 Magazyn „102”
19.30 Zielone kino: Przyroda polska: „Życie rodzinne rycyka” — film Joanny Wierzbickiej
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Hugo Claus — „Piątek, dzień miłości”.
23.20—23.25 Komentarz dnia

Piątek

3 LISTOPADA
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Przypadki Piotra S.” — film fab. TVP
10.50 Domator: Szkoła dla rodziców
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa
17.55 „Normalny człowiek” — film dok. Ireneusza Englera
18.25 Od A do Z — program public.
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc: Kret fotografem
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Akademia filmowa: „Komisarz” — film fab. prod. ZSRR
21.50 Sport
22.00 Kontrapunkt
22.30 Dt — echa dnia
22.45 „Piękne dziewczęta” — film dok. prod. węgier.
0.15 Jutro w programie
PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Program public.
18.50 Za chwilę dalszy ciąg programu — program rozrywkowy
19.30 Dookoła świata: Rajd „Camel Trophy”
20.00 Tele 9-tką — przegląd najciekawszych pozycji regionalnych TV Kraków
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Eurypides

21.30 Panorama dnia
21.50 „Ostatni oddech” — film prod. wł.
23.20—23.25 Komentarz dnia

Sobota

4 LISTOPADA
PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.40 Magazyn katolicki
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Postrach miasta” (6 — ostatni) — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 „Wyprawa pod podszewkę Alp” film dok. Jakuba Kolskiego
11.20 Azymut
11.50 Laboratorium
12.20 Polska — Francja — program public. o tematyce rolnej
12.40 Telewizyjny koncert życzeń
13.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Mikołaj Gogol — „Plaszcz”. Reż. Ryszard Ber
14.55 Szkoła mistrzów: Jerzy Hoffman
15.15 Filmy o miłości: „Osmi dzień tygodnia” — film fab. prod. TVP
16.40 Flesz — magazyn muzyczny
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjna giełda piosenki: Premie i premiery (wydanie 7)
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Dt
20.05 „Złodziejska miłość” — komedia sensacyjna prod. USA
21.40 Telewizyjny przegląd sportowy
22.00 Tydzień w polityce
22.10 Szafa 3 — program rozrywkowy
22.55 Telegazeta i jutro w programie
23.05—0.50 „Nocni goście” — film prod. ang. Reż. Michael Winner
PROGRAM II
14.00 „Ordy” — odc. pt. „Fleming” — film anim. prod. japoń.
14.25 Meandry architektury
14.45 Spektrum
15.00 „Latające lisy” — film przyr. prod. USA
15.25 „Chińskie rzeźby z jadeitu” — film dok. prod. chińskiej
16.40 „Ba. alastyka w malarstwie polskim” — film dok.
16.00 Bariery
16.25 Studio sport
16.55 Powitanie
17.00 Spacerologia — recital Mariusza Lubomskiego
17.30 „Bob Lewandowski” — film dok. Włodzimierza Syty
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Piosenki Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego
19.30 Wszystko jest poezją — Erna Rosenstein
20.00 „Don Kichot” — wariacje fantastyczne Kysyda Straussa
20.45 Jazz Film Salon'89 (2) — telewizyjny finał festiwalu filmów jazzowych
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauballon” (26 — ostatni) — serial prod. franc.
22.35 Jacek Stwora: Co jest za tym murem? (2)
22.45—23.00 Komentarz dnia

Niedziela

5 LISTOPADA
PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Janka” (7) — serial TVP
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Zwierzęta Europy” (4) — serial przyr. prod. franc.
11.05 Kraj za miastem
11.35 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Morze — magazyn public.
12.40 Konkurs 50 milionów
13.30 Teatr dla dzieci: Aleksandru

Popescu — „Gwiezdna droga”
14.25 „Pieprz i wanilia”: Z wiatrem przez świat — Z wizytą u Nelsona
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (26) — serial prod. brazył.
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Raymond Chandler — „Zegnaj, laleczko” (2)
18.50 Muzyczna telewizja: Wideo-Top
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donald
19.30 Dt
20.05 „Tanamera” (3) — serial prod. ang.
21.00 Siedem dni: Świat
21.30 Sportowa niedziela
22.15 Premiery po latach. „Ojciec i syn”. „Fragmencie większej całości” — filmy dok. Ireneusza Englera
23.15 Jutro w programie

PROGRAM II

9.45 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
10.20 „Tanamera” (3) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)
11.05 Magazyn lotniczy
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino rodzinne: „Niebezpieczna zatoka” — serial przyg. prod. kanad.
13.20 100 pytań do...
14.00 Aktualności kulturalne: Polscy kandydaci na konkurs chopinowski
14.15 „Polacy” — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Zasiedlenie basenu Pacyfiku” (1) — film dok. prod. australijskiej
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Legenda filmu: Catherine De-neuve
17.05 Studio sport
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizyjny satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria 37 milionów: Jerzy Kopeć
20.00 Studio sport: Piłka w grze
20.45 Jazz Film Salon '89 (2)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (10) — serial fab. prod. USA
22.45—22.50 Komentarz dnia

Poniedziałek

6 LISTOPADA
PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 „RFN — Polska — twarde reguły gry w interesach” — film dok.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę
19.10 W Sejmie i Senacie
20.05 Koncert z okazji 72 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej
21.45 Teatr Telewizji na Świecie: Lew Tołstoj „A światłość w ciemności świeci”. Reż. Michał Kozakow.
ok. 23.00 Dt — echa dnia (w przerwie teatru)
0.15 Język francuski (4)
PROGRAM II
16.55 Język angielski (4)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym
19.10 „SEFARAD” — śpiewa zespół reprezentacyjny
19.30 Życie muzyczne: Dni Muzyki XX w.
20.00 Auto — Moto Fan Klub
20.30 Biografie: „Władimir Nabokov” — film dok. prod. RFN
21.30 Panorama dnia
21.45 „Polka na skrzypce, harmonie i cymbały” — reportaż
22.15 Gawędy Juliusza Lubicz-Lisowskiego
22.30 Komentarz dnia

Wtorek

7 LISTOPADA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Akwen Eldorado” (3) — serial TVP
10.15 Domator: Rady na życzenie
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak oraz kino Tik-Takka: „Cudowna podróż”
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 Mozaika narodowości: Nowa Białka
18.45 10 minut
19.00 Wesołe przygody Piłki, Kwika i wieloryba Grubaska
19.10 Program public.
19.30 Dt
20.05 „Akwen Eldorado” (3) — serial TVP
20.55 Sport
21.05 Dobry wieczór: Tu WESTA!
22.10 Sprawa dla reportera
22.50 Dt — echa dnia
23.05 Język rosyjski (4)
PROGRAM II
16.55 Język angielski (34)
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna w intencji kraju i świata
18.50 Studio Solidarność
19.30 Bliżej świata: Na skrzydłach
20.00 „Spalić siebie” — reportaż Ryszarda Bójki
20.30 Ja i tak zabiorę cię stąd — Paweł Orkisz śpiewa Wysokiego
21.00 W kręgu sztuki: „Dzieje fotografii” (5) — serial dok. prod. ang.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Gwiezdny pył” — film TVP.
22.45 Komentarz dnia

Środa

8 LISTOPADA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Kapitan z Oriona” — film fab. TVP
10.55 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Latający Holender — Klub Zdobywców Oceanów
16.45 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w.
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Dt
20.05 „Kung-fu” — film fab. TVP
21.55 Sport
22.05 Footballshow — program roz.
22.55 Dt — echa dnia
23.10 Język angielski (4)
PROGRAM II
16.55 Język francuski (4)
17.25 Program dnia
17.30 A-B-C — teleturniej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Sokół na kamieniu” — reportaż
19.00 Hotel „Zacisze” (4) — serial prod. ang.
19.30 Algieria — program dok.
20.00 Muzyczny portret Jana Krenza
21.00 „Za Olzę” — reportaż Stanisława Kostrzewy
21.30 Panorama dnia
21.55 „W labiryncie” (45) — serial
22.25 Telewizja nocą
23.10 Komentarz dnia

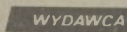
relacje



ADRES REDAKCJI
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZ REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE



WYDAWCA Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.



DRUK Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa Książka Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

Zam. 1558-23.10.1989. B-4.

— Pozwoli pan, że raz jeszcze wyrażę masę wielką radość z powodu przybycia do nas. Bo też było to spotkanie i z wielkim artystą, i z wielkim człowiekiem, a dla mnie osobiście — powrót do przeszłości. Pamiętam przecież pana z Krakowa, z okresu studiów, pracy i nie ukrywam, że pamięć o tamtych dniach jest mi drogą. Jak pan się czuje po tych dwóch lubelskich, trudnych, choć chyba niezwykłych koncertach?

— Była to jedna z najbardziej uroczych przygód w mojej karierze artystycznej. Pierwszy raz w ogóle zdarzyło mi się być w Lublinie, ale poczułem się jak w domu, jakbym tu stałe bywał i to w charakterze kogoś upragnionego. I tu nasuwa mi się dziwna zbieżność i podobieństwo: ja się wychowałem w Wilnie i oto tu właśnie odkryłem specyficzny klimat uczuciowy tamtego miasta, atmosferę, powiedziałabym — nie warszawską. Wczoraj z kolegą Wijatkowskim (student profesora H. Czyży, dyrygent orkiestry Szkoły Muzycznej im. K. Lipińskiego — przyp. TK) zwiedzałem Lublin. Tu także, w architekturze, kolorystyce, odnalazłem coś bliskiego. Pani miasto ujęło mnie i życzliwością, i kulturą ludzi, tych spotykanych na co dzień także. Proszę sobie wyobrazić, że oto idę do restauracji i tu kelner, po utwierdzeniu się, że mnie rozpoznaje, prosi o autograf na świeżo zakupionej encyklopedii muzycznej. No, ja nie wiem, czy tak w każdym mieście można spotkać kelnera, który kupuje dla syna encyklopedię muzyczną!

— Ja nie chcę tu dostawiać przysłowiowej kropki nad „i”, ale podejrzewam, że wiem, który to kelner, i zapewniam pana że ma on syna w szkole muzycznej!

— To coś uroczego. Przepraszam, uciekłem od odpowiedzi na postawione pytanie. Wracając zatem do koncertów, to muszę powiedzieć, że sobotnie wykonanie „Wariacji symfonicznych” było naprawdę porównywalne w prawdziwym wymiarze sztuki — szczególnie jego strona wyrazowa, bardzo piękne fragmenty liryczne. Z orkiestrami niemieckimi może udawa-

ło mi się osiągnąć większą precyzję, ale ładunek uczuciowy lubelskich muzyków był doprawdy wzruszający. To było granie nie rękami, ale sercem. Bardzo piękne!

No i ten chór dziecięcy, świeżość głosów, przejęcie, wspaniałe napięcie psychiczne...! Wreszcie reakcja publiczności, spontaniczne „STO LAT”, zaintonowane przez młodzież; skojarzyło mi się to z wydarzeniem sprzed lat, w Paryżu. Po jakichś bardzo trudnych próbach i wspaniałym koncercie, doskonale przyjętym przez publiczność, wychodząc po raz kolejny na estradę, usłyszałem nagle za sobą coś na kształt huków, coś dosłownie wałnęło za moimi plecami. Okazało się, że to

„NIE SPRZEDAŁEM WOLNOŚCI”

Rozmowa z Henrykiem Czyżem, kompozytorem i dyrygentem

była fanfara orkiestry — wyraz zadolenia muzyków. W Lublinie była też standing ovation, choć muszę wyznać, że trochę się jej boję, wolę sitting satisfaction — no, ale myślę, że i to było.

— Panie profesorze, słysząc Pana wczoraj prowadzącego swój własny program, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że traktuje pan siebie jako twórcę i wykonawcę tak trochę pół żartem, pół serio.

— To trudne pytanie, ale chyba rzeczywiście słusznie doszukała się pani tego „przymrużenia oka”. Powiedziałbym tak: we wszystkim, co robię, staram się nie stracić spojrzenia z zewnątrz, spoglądania na siebie z boku. Właściwie do wszystkiego, co robię, mam jakieś zastrzeżenia... No, nie, poruszyła pani temat — rzekę!

Tak, na pewno wszyscy chcemy się w życiu jakoś zrealizować, samookreślić, a to przecież bardzo trudne. I tak, szukając działań sensownych, sensu życia w ogóle, dochodzimy w końcu do przekonania, że jedyne, co naprawdę ma wartość, to bezinteresowne czynienie dobra. W tym kontekście,

na działania artystyczne, pedagogiczne można przymrużyć oko. Iluż jest ludzi poświęcających swoje życie i czas dla idei! Zastanówmy się: przecież na dobrą sprawę żadna z wielkości ludzkich czy boskich, tak naprawdę muzyki nie gloryfikowała! Zaczniemy choćby od Chrystusa — jakoś nie słyszałem, by zachwycał się śpiewem, czy taki Einstein — grał niby na skrzypcach, ale ponoć fałszywie i źle technicznie. Jeśli zatem sztuka jest drogą wiodącą do absolutu, to i tak — przynajmniej ja tak to widzę — jest to dążenie kuchennymi schodami.

Cóż, nie wszystkim jest dane wchodzić głównymi. Ale sztuka na pewno daje przecucie wyższych rąć, wyż-

honoraria i oto nagle uświadomiłem sobie, że właściwie mam tego dość, chcę komponować, pisać książkę. Były zabiegi ministra kultury, propozycja zwielokrotnienia i tak już wysokiej gaży, nie, ja się wycofałem, musiałem być wolny. Zresztą tej wolności nigdy w życiu nie oddałem i nie sprzedam, także za cenę tzw. kariery czy nazwiska. A poza tym życie jest zbyt piękne i kolorowe, by patrzeć na nie tylko zza pulpitu dyrygenckiego.

— Ha Spodziewałam się takiej odpowiedzi! Ale proszę, pozostaliśmy jeszcze na chwilę przy dyrygenturze. To, co pan robi, wykracza poza talent i profesjonalizm, Pan wyswala w lu-

skich form bytu. I bywa, że człowiek wieszcie ku nim innych, oczywiście tych, którzy się wieść pozwalają. Myślę to o wykonawcach i publiczności. Wszyscy czekają na owe momenty, mgnięcia, kiedy udaje się przekroczyć granice dotykanej, namacalnej rzeczywistości. W pewnej chwili wszyscy czują zetknięcie z czymś nieznanym, zjawiskowym, a przecież głęboko, dominującym obecnym. Pięknie powiedział Tomasz Mann: „Jak się udaje uszczknąć najdrobniejszy listek z zaczarowanego drzewa...”

Tak więc i ja staram się prowadzić ludzi ku temu zaczarowanemu drzewu.

— Ale nadal nie mam pełnej odpowiedzi...

— Już dobrze, jakkolwiek zabrzmi to trochę anarchizmie: ja pozwoliłem sobie na luksus bycia wolnym. W różnych okresach życia robiłem różne rzeczy, wypowiadałem kontrakty, przerywałem rozpoczęte sprawy, ale zawsze naprawdę robiłem, to, co mnie wówczas interesowało. Pamiętam taki bardzo dobry okres w Düsseldorfie, gdzie dyrygowałem, organizowałem życie muzyczne, dostawałem znaczne

działach coś, co czyni muzykę bogatą, wypełnioną po brzegi... My jesteśmy panu od początku do końca oddani, a to naprawdę zdarza się bardzo rzadko!

— Niedawno zacytowano mi fragment mojej książkowej wypowiedzi, że dyrygentura jest ostatnią formą chciwej i potrzebnej dyktatury. I tak jest w istocie: dyrygent jest dyktatorem — tego oczekuje także zespół — ale musi o być dyktator mądry i uczciwy. Chyba najpiękniej tę osobliwą podległość określił Karol Capek, mówiąc, że „mądry dyktator to ten który zabierając wolność, oddaje godność” — to jest, moim zdaniem, kwintesencja tego zawodu. To widziałem u Karajana! Cała tajemnica sukcesu tkwi w tym, by wyzwolić w ludziach, to, co najlepsze, to, czego sami w sobie wcześniej nie odkryli i nie przeculi. I tak rodzi się wielka radość grania!

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Teresa Księżka

WRZUĆ MONETĘ...

Zbigniew Dzieciołek

POSTANOWIŁEM twardo, że nie napiszę. Święto, świętem (Dzień Łącznościowca), a ja palpitacji serca dostaje, kiedy przychodzi mi zadzwonić z ulicznego telefonu. Zanim wybiorę właściwą dwudziestkę (zgaduję zgadula, gdzie jest złota kula?) i znajdę sprawny automat, odcieczę im się jakichkolwiek rozmów. „Miłość bliźniego” staje się wtedy dla mnie pojęciem obcym, a myśli mam nie gorsze od hercdowych siepaczy...

Ale po kolei.

O okazji wspomnianego święta nasza redakcja (i nie tylko) została zaproszona przez lubelską dyrekcję Polskiej Poczty, Telegrafu i Telefonu (coż za nazwa!) na coś w rodzaju małej „pokazówki”. Obwieziono nas po wybranych placówkach pocztowo-telekomunikacyjnych i pokazano, co było do pokazania, z wyraźnym zamysłem: cuda, cuda ogłaszajcie!

Nic z tego. Tych kilka półautomatów i komputerów, które obejrzałem, nie przysłoni mi faktycznego obrazu naszej telekomunikacji (koń jaki jest, każdy widzi). Jesteśmy w tej branży kopciuszkami i żadne okolicznościowe pokazy niczego nie zmieniają. Zapewnienia dyrektora, że jego firma nie spłajtuje, bo nie może, też raczej nie

napawają optymizmem. Deficyt za pierwsze półrocze, wynoszący 200 mln zł, stawia pod znakiem zapytania wszelkie próby wyjścia z telefonicznego dołka. A dołek to głęboki, że i kilkudziesięciu lat nie wystarczy, aby dogonić cywilizowany świat.

W samym tylko województwie lubelskim mamy ponad 60 miejscowości nie posiadających żadnego telefonu, a w wielu innych sortys jest jedynym szczęściwcem. Na 100 mieszkańców przypada u nas 7,68 abonentów telefonicznych (dane z końca grudnia 1988 r.), co nie stanowi nawet średniej krajowej (7,82). O ile sam Lublin plasuje się nieco powyżej średniej miejskiej — 15,1 (11,36), o tyle lubelska wieś pozostaje wciąż daleko w tyle — 1,74 (2,23 — przeciętny wskaźnik dla wsi).

Takie są fakty i nie ma co robić dobrej miny do złej gry. Dla porównania średnia światowa — liczba abonentów na 100 mieszkańców w 1986 r. wynosiła 8,8. europejska — 21,54 (czy Polska leży w Europie?). W krajach wysoko uprzemysłowionych, takich jak Stany Zjednoczone, Szwecja czy RFN, wskaźnik ten jest jeszcze wyższy. Rekordzistą w tej dziedzinie jest Szwajcaria, gdzie na 100 mieszkańców przypada prawie 100 abonentów, a telefak-

sy zaczynają wchodzić do codziennego użytku!

Tak toczy się świat, tak wygląda Europa na zachód od Łaby. U nas jakby o tym zapomniano, a radość z posiadania w Lublinie automatycznej centrali telefonicznej (jedna z najlepszych w kraju) przyćmiła niektórym ostrość widzenia.

Co nas zatem czeka?

Przyszłościowy program Dyrekcji Wojewódzkiej PPTT w Lublinie przewiduje, że w 1995 roku liczba abonentów na 100 mieszkańców wzrośnie do 12,6 (w Polsce do 13,2). Aby osiągnąć ten stan, potrzeba 37 miliardów złotych, rosnących wprost proporcjonalnie do inflacji. Jednak program to tylko program: opisuje, co ma być, nie zapewnia, czy będzie. Z doświadczenia wiemy, że „plany były, tylko się zmyły”. Ale nawet gdyby się „nie zmyły”, cieszyć się nie ma z czego. Rodzinna (?) Europa nie będzie przecież stała w miejscu. Pójdzie dalej i jeszcze dalej, aż pewnego dnia okaże się, że telefony to już nie ta epoka...

Uff! Miałem nic nie pisać, ale nie zdzirzyłem. Wizja nie zgadzała mi się z fonią (może odwrotnie?), a forma z treścią. Widocznie każdy ma własny stopień odporności na otaczającą go rzeczywistość. Ja jeszcze się nie uodporniłem.

PS. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie było moim zamiarem dokładanie komukolwiek po kosciach. Leżymy wszyscy, a leżącego, jak wiadomo, nie kopie się. Krew mnie jedynie zalewa, kiedy słyszę w słuchawce: wrzuc monety, wrzuc monety...

AD VOCEM

EXODUS

TRWA exodus wschodnich Niemców” („Relacje” nr 37). „Oblicza się, że co piąty obywatel NRD opuścił kraj od czasu istnienia tego państwa” („Relacje” nr 39). Czy nadejdzie dzień, o którym napisano w Starym Testamencie (bo stąd przecież pochodzi „exodus”): „[...] pamiętajcie o tym dniu, w którym wyszliście z Egiptu, z domu niewoli” (?). Nie wiadomo. I w ogóle jest wątpliwe, czy można porównać wschodniemieckie uchodźstwo do swoich zachodnich braci z biblijnym exodusem.

Bardziej uzasadniona wydaje się inna analogia, nasuwająca się przy obserwacji obecnych przemian w tzw. demokracjach. W Polsce i na Węgrzech ewolucja z elementami rewolucji, w NRD zaś demonstracja poglądów... nogami.

Taki sposób wypowiedzania się istniał już w starożytnym senacie rzymskim. Po dyskusji, na znak przewodniczącego obrad, senatorzy popierający wniosek przechodzili na tę stronę sali, gdzie siedział wnioskodawca, a opozycjoniści — na przeciwną. Nazywało się to „pedibus in sententiam ire” — głosować za wnioskiem nogami.

Ta procedura głosowania miała też swój szczególny akcent. Otóż istnieli również senatorzy (tzw. senatori pedarii), którzy nie mieli prawa głosu w dyskusji podczas obrad, a mogli jedynie podejmować ostateczną decyzję właśnie nogami, przechodząc w milczeniu na odpowiednią stronę.

Czyżby — kolejnym paradoksem historii — znaleźli dzisiaj naśladowców w naszych sąsiadach za Odrą?

Arcus M.

W NUMERZE 43.
OPUBLIKUJEMY:

● Z.Cackowski i J. Klasa w „Relacjach” ●
Podwórko z kluczem na szyi ● Azerbejdżan:
między prawdą a nienawiścią ● Wywiad z potomkiem Dżyngis-chana ● Czy spółki rozdrapają gospodarke?